

R. 50

ASZEW_KI

AMIĘTNIK MROZKA

POWIEŚĆ



252

WARSZAWA

INSTYTUT WYDAWNICZY »BIBLIOTEKA POLSKA«

J. IGNACY KRASZEWSKI

PAMIĘTNIK MROCZKA

POWIEŚĆ



WARSZAWA

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA”



KRA
PAM.
252

Tekst według wydania z r. 1875.



Sit nomen Domini benedictum.

Nigdy, jako żywo, nie byłbym pomyślał o opisanu wypadków, które w dosyć długiem życiu Pan Bóg przeżyć pozwolił, ratując mnie łaską Swą, gdyby nie naleganie usilne dzieci i przyjaciół, abym dla nich i potomstwa ich pamięć tych przygód zostawił, których oni ani tak objąć, ani tak, jako świadek oczny, opowiedzieć nie potrafiliby, chociaż je nie raz jeden z ust moich słyszeli. Wiec nie, żebym mizerną swą osobą chciał zajmować ludzi, boć takich, jakem ja był i w podobnych przygodach, naliczyłby tysiące, ale że mi Pan Bóg dał w wielkiej imprezie i sławnej onej wiktoryi nad Turkami, pod cesarską stolicą otrzymanej, uczestniczyć, a rzecz ta pamięci jest wiekuistej godna — przeto się nakłonić dalem, aby coś o tem, jakom na to oczyma własnemi patrzyał, zostawił. A że się nie obejdzie, bym przy tej okazji czegoś i o sobie powiedzieć nie miał, niech mi to będzie przebaczone.

✠ Rodzina moja z Mazurów pochodzi, gdzie od wieków dawnych Boleszczyce siedzieli i gdzie im Ziemiowit, książę mazowiecki, przywileje wielkie nadał, jako możesz czytać u genealogów naszych. Ci świadczą, jako się rozrodzili i rozdzielili Boleszczyce, a potem i po całej Polsce rozeszli, tak,

że mało gdzie kąt znalazłeś, aby tam naszej krwi kogoś nie odpytał. Ano miał zwyczaj mawiać stary Nowowiejski, który też Jastrzębcem, inaczej Bolestą się pieczętował, iż nas prawie narodem raczej, niż familją zwać się godziło; tak liczni byliśmy od wieków na polskiej ziemi. Najstarsze kroniki już onych Jastrzębców wspominają dobrze przed Krzywoustym, tak, że *originem* familji bodaj do pogańskich czasów odnieśćby należało; z czego, uchwaj Boże, chluby nie szukając, dlatego to piszę, abym nie zamilczał, co się mojego rodu tyczy. Już w tym czasie, kiedy Ziemowit w 1408 r. ów przywilej nasz spisać kazał, który Bolestów wszystkich, naówczas w Księstwie Mazowieckiem zamieszkających, od jurysdykcji wszelkiej krom sądów książęcych uwalniał, było ich tam coniemiarą po wsiach, od których imiona pobrali, jako: z Psarów, Czeszewa, Myśliszewa, Kozłowa, Mańkowa, Chorzewa, Bobrowa i t. p. Takeśmy i my, Mroczkowie, od antecesorą Mroczka czyli Mruczysława nazwani, „z Łukowca“ się pisali, i niektórzy Łukowieckimi się poprzeczywali. Wszystkie też rodziny Jastrzębczyków, których mało kilkaset różnego miana naliczyć było można, jeden herb nosiły i noszą, jeśli z odmianą, to niewielką: w szczycie podkowę z krzyżem, a na helmie jastrzębia czyli kanię, jak do myśliwstwa były używane, z centkami u nóg. I mogliby byli owi Bolestowie potężni być, gdyby się byli trzymali jako jeden ród i zawołanie; ale od owego nieszczęśliwego zabójstwa Św. Stanisława za karę snąć Pan Bóg im szyki pomieszał i rozproszenia dopuścił, tak, że się już za swych nie znają i samopas każdy chodzi, choć wszyscy do jednej familji

należą. Byli bowiem z królem Bolesławem Szczodrym, jako jego przyboczni, w to nieszczęsne zabójstwo winieszani Bolesławie, za co im potem i imiona i szlachectwo odjęto niektórym, a potem znów przywrócono. Od onego też wypadku już się nigdy rodzina podnieść nie mogła do pierwszej świetności swej i popadła w ubóstwo. A potomkowie tych, co się krwią świętego zmazali, zawsze w rodzinie mieszkali, jako żywe świadectwo swojego szaleństwa, jednego, który szalał.

O ile wiem i od ojców to słyszał, który dziada swego pamiętał, zaręczali najstarsi, iż między Mroczkami nic się podobnego nie trafiało, w dowód, iżśmy tam nie byli na Skalce, gdzie się krew niewinna męczeńska lała, aniśmy się nią pomazali. Wszelako należeliśmy do rodu i z nim, wiadać, dźwigaliśmy losy wspólne, bo się nam też nie wiodło, mimo ciężkiej pracy.

Mroczkowie z Łukowca, jak wielu innych Jastrzębczyków, dawno się byli wynieśli z ojczystego zagonu, a nam już przypadło kawał ziemi trzymać na Podlasiu około Bugu, kedy się był pradziad wyniósł z okazji tej, że się ożenił z Pawlicką, po której wioska mu się dostała w tym kraju zapadłym. Już wtedy ś. p. ojciec mój, Paweł, tam na świat przyszedł, i ja tam także światło dzienne ujrzałem w Górze Pawlickiej d. 23 *junii* 1657 r., za onego nieszczęsnego panowania Joannis Casimiri, nad które, nie wiem, czy kiedy smutniejsze być mogło. Tych przecie czasów srogiej kary bożej nie pamiętam, bo to były lata niemowlęstwa i dzieciństwa mojego, a jak sięgnąć mogę przypomnieniami, już się też było u nas nieco poprawiło.

Jednakowoż nie w naszej rodzinie, bo myśmy naszą Górę utracili, którą nam za dawny dług nie-słusznym procesem wzięto, od czego ojciec zmarł ze zgryzoty wielkiej, rady dać sobie nie mogąc. Matce też ze mną przyszło po cudzych tulać się kątach, mało co nad ru-chliwość ocaliwszy, a i ta się rozpraszała. Miałem stryja, człowieka niezbyt majątnego, ale na własnej siedzącego wiosce; ten jednak mało się losem moim chciał zajmować, a wcale matki i mnie przyjać nie myślał. Matka więc u swej siostry Zawickiej przemieszkiwała, można powie-dzieć, na łasce; a gdy się to trafi, choćby u rodzo-nej, zawsze ciężko opłacić trzeba. Co tedy tam zniosła i przecierpiała, milczeniem pokryć wolę. Mnie z Zawickim razem do szkół posyłano, a i tu. Boże odpuść, tylko że nie za chłopca bratu cio-tecznemu służyć musiałem, i tyle nauki chlipnąć, ile jej trzeba było na życie. Przypadły mi jakoś szkoły właśnie pod ten czas, kiedy król abdyko-wał z dobrej woli, a później obrano w miejsce jego Michała. Ale się owe wielkie przepowiednie na Piasta nie ziściły, i pszczoły, co tam siadły czasu elekcji, miodu nie zrobiły. Mijam tedy ów czas, bo o nim niewielebym mógł powiedzieć, kiedym nad moją książkę szkolną dalej nie widział. Później do-piero cokolwiek w oczach się świat rozjaśniać po-czął, a już się i lepiej wiodło onemu królestwu za wstąpieniem na tron hetmana, wsławionego zwy-cięstw, jakiego nam właśnie było potrzeba.

Za łaską i protekcją krewnych moich, którzy też i zbyć się może załogi życzyli, bardzo tedy młodo rycerską począłem praktykę, i nieźle mi się wiodło — a jakem się dał poznać i poczcziwe imię

sobie zasłużył, toć ludzie wiedzą i tego nie ciekawi.

Wracam tedy szczególnie do tych czasów, których pamięć radbym zostawił, i do lat doroslejszych, gdy już w rejestr był wpisany i zaczął chleba wojskowego kosztować. Nie doczekała pocziwa matka moja poprawy chłupacholskiego losu, gdyż jakoś na rok przed stryjem, po którym wioseczka mi się dostała, u Zawickich zmarła.

Chorzała już oddawna, przeto, chociaż się i gorzej miała, i bliską zgonu czuła, pobłogosławić mnie i zobaczyć pragnęła. Pożalowali powstańca do mnie, bom był przy chorągwi mojej, naówczas konstytuującej na Rusi. Niech im tego Pan Bóg nie pamięta, choć mnie im ciężko zapomnieć wyrządzoną krzywdę! Zmarło się biednej matce tak niedźnie, jak żyła, a pogrzebu nawet przystojnego, jak należało, nie sprawili, niemal jak sługę, nie jako krewną najbliższą, pochowawszy bez wszelkiego aparatu, z jednym księdzem. Jam to później nagroził, solenne wyprawując egzekwie, na które, chociażem Zawickich prosił, czując się źle na smieniu, przybyć nie chcieli.

Dopiero po pogrzebie listem mi ciotka dała wiedzieć, że Pan Bóg matkę wziął z tego świata na lepszy i że po niej mi nic nie zostało, krom ślubnej obrączki ojca i obrazka Najświętszej Panny Częstochowskiej, który za relikwie chowam. Zapłakawszy tedy nad swem sieroctwem, rzekłem, jako mnie nieboszczka nauczyła:

Sit nomen Domini benedictum.

Nie upłynął rok potem, a byłem niemal ciągle przy chorągwi, i to tak, jak sam prawie, bo się towarzystwo porojeżdżało, każdy do domu, lub do

swoich, jam zaś i pojechać nie miał dokąd, chyba po bliższych dworach znajomych. — gdy odbieram posłańca od starego przyjaciela ojca, pana Jacka, przybyłego z Podlasia, abym *eo instante* pośpieszył do stryja, który wyraził chęć widzenia mnie przed śmiercią, co się okazało domysłać, że miał jakieś względem mnie zamiary; a jeślibym tego nie uczynił, obawa jest, żeby Wólka nie poszła w cudze ręce.

Nigdy ja, prawdę rzekłszy, na ten spadek, choć mi się święcie należał, nie rachował; stryj bowiem serca dla nas nie miał, otoczony był obcymi i dalszymi, a ci tam dobrze swoich interesów pilnowali. Wszelako, słuchając rady pana Jacka, wzięwszy kartę, a poczet zostawiwszy na miejscu, samowtór z pacholikiem Grzesiem puściłem się co rychlej ku Podlasiowi. Aleśmy też i pośpieszać nazbyt nie mogli, bo czas był wiosenny, roztopy same; śniegi ledwie tajać poczęły: tu lód, tam grzęzawica, ślisko, błotno, niebezpiecznie dla koni, noc ciemne. A i konie moje nie były tak przedziwne. Siwy, któregoś sam miał, to jeszcze; ale pod Grzesiem był deresz, szkapa ciężka i nieco dychwiczna, tylko zakuwana. Jakaśmy się poczęli wlec, konie nogi poobrażały na lodach, nie bez tego, by i kolana nie potłukły, bo szpetnie padały, choć ostro kute. Tak potem po gospodach leczycie i obwiązywać musieliśmy coraz, choć się jednej godziny nie straciło na próżno, — i kiedyśmy do Wólki przybiegli w Wielki Czwartek na zaraniu, Grześ postrzegł pierwszy, iż się świece paliły wokół tapczana, a na nim stryj już leżał.

B. Pisto. J. O. T. E. K. A. Tylko tam nieco służby, stara klucznica, w lodach trochę odartego wieśniac-

w s i e d l a c a h

inwentarza Nr

twoja; owych przyjaciół, co go objadali, opijali i obierali ze wszystkiego — ani śladu. Boć też koniec owym zapustom, które nieboszczyk wyprawiać przywykł, a po kątach, spiżarniach i komorach, jakby Tatarowie przeszli.

Kiedym owe świece żółte zobaczył i babki przy nieboszczyku, serce mi się ścisnęło. Zsiadłszy z konia, poszedłem wprost do izby, ukląknęłem w nogach i począłem „Anioł Pański“.

Stryj, któregoś dawno nie widział, straszliwie był zmieniony; twarzy i oczu mało co było znać, dla srogiej obrzękłości, a że go i ubrać nie mogli z tej samej przyczyny, więc był tylko poowijany w odzież ubogą i zszarzaną. Nędznie też a goło wyglądało dokoła, aż się serce ścisnęło, patrząc, i rozpląkałem się, widząc przykład na nim niestałości fortuny. Toć to ten dworek przez lat dwadzieścia nigdy nie pustoszał od wesółych przyjaciół i towarzyszków; a teraz, miły Boże, w ostatnim terminie i jednego z nich nie było, coby nieboszczykowi dotrzymał, tylko ja, przybyły zdaleka, o którym on słyszeć nie chciał za żywota.

Jeszcze był „Anioł Pański“ nie dokończył, słyszę, klepie mnie ktoś po ramieniu; obracam się, patrzę: stoi pan Jacek i wyciąga ręce do mnie. Przeżegnawszy się więc, wyszliśmy na podwórze razem. Grześ jeszcze konie wodził, nie wiedząc, co począć z nimi.

Jął mnie ścisnąć stary przyjaciel ojca i matki, i zrazu się rozplakał, że i słowa z niego dobyć nie mogłem, krom jednego:

— Jakże ty się masz?

— Co się tu stało? — pytam.

— A no, widzisz — powiada — śmierć, *ultima*

linca rerum, przyszła i wymiotła śmiecie. Pouciekało od umarłego, co żywcem dla chleba się łasiło; objedli, opili i poszli. Dotrwał do ostatniej godziny jeden Wojakowski, który na Wólkę czyhał, a myślał, że mu ją zapisze. Nie wiem, co się stało nieboszczykowi p. Krzysztofowi, ale się uparł i testamentu żadnego zrobić nie chciał. A tak — dodał — z łaski bożej została ci sie owa Wółka dziadowska.

Tegom się ja nie spodziewałem, i rozplakałem się znowu.

— Nie sadź — mówił dalej pan Jacek — żeby to wielkie były rzeczy; wioszczyna mała, są i długi, a czasu choroby obcy powynosili resztę mienia, tak, że ino cztery kąty i piec piąty zastaniesz; ale Bogu niech będą i za to dzięki!

Poszliśmy tedy po dworze i gospodarstwie, żeby zobaczyć, czy się co na pogrzeb da zebrać, a jam też zapasu nie miał. Jak żyw, takiej pustki i zniszczenia nie widziałem, dezolacji i ruiny. Nigdzie nic na zawinięcie palca, tak tam dotąd gospodarowano; a o co było spytać, to ten, to ów z przyjaciół zabrał, to temu, to innemu oddano, gdy już nieboszczyk sobą nie władał i z izby się nie ruszał. Okrutne też opuszczenie wszędzie, jakby oddawna oka brakło i starania wszelkiego, ażeśmy z p. Jackiem gniewali się i płakali. Wyglądało ono niespodziane dziedzictwo, jak *Arabia deserta*. Gdym się, łamiąc ręce, frasował, pan Jacek rzecze do mnie:

— Dopóki i ziemi i ludzi, nie trzeba rozpaczać! Do wszystkiego się dochodzi.

Ale tu nieboszczyk na tapczanie, a i pogrzebu niema mu za co przystojnego zakupić. Pojechaliśmy zaraz do proboszcza; zaprezentowałem się

i przyjął nas w sieniach, do izby nie prosząc, bo był na odjeźdźnym, ale z dobrą twarzą. Powiedział pan Jacek, o co nam chodzi i w jakim jesteśmy frasunku; on też, choćby z serca pomóc rad, nie był przy pieniądzach.

— Kawalerze mój — rzekł proboszcz — mały to frasunek. Pogrzeb przystojny będzie i bez grosza, toć mój obowiązek. Żyjemy z ołtarza, aleśmy też i ojcowie duchowni i bracia, więc się to po bratersku załata. A jeśli jegomości jakimi dwustu złotych wygodzić mogę, proszę je przyjąć na pierwsze potrzeby, to mi je oddacie.

Małom staruszka w rękę nie pocałował, coby też grzechem nie było, bo wielce poważny był i szanowny, a osoba duchowna. Wprowadził nas dopiero do izby, dobył talarami bitemi dwieście złotych i wyliczył zaraz. Chciałem się coś pisać, ale nie dopuścił, i pod pozorem pośpiechu, bo konie stały zaprzężone u ganku, zwinął się, żegnając nas.

Duch wtedy w nas wstąpił, i powróciliśmy do Wólki nazad, myśleć około pogrzebu. Odprawił się przystojnie, bez zbytej okazałości, ale też z wystawą nie ostatnią, a mało kto nań przybył, krom nas i ubóstwa. Z tych przyjaciół serdecznych, co to z Wólki nie wychodzili całe miesiące, nie było ani jednego.

Dopieroż, gdy się zadość uczyniło zmarłemu, poszliśmy z panem Jackiem spisać inwentarz i opatrzyć pozostałości. Nie było wiele roboty: tak czysto chodzili inni około zapasów wszelkich.

Przecież nie mogli wynieść doszczętu, i coś tam gdzieś się w kącie przyzostało. W izbie, w której nieboszczyk zwykł był siedzieć, gdzie i umarł nie

na łożu, ale w krześle — stało jeszcze owo krzesło naprzeciw komina wygasłego, tak, jak je rzucili, nieboszczyka zdejmując. Przychodzimy tam z panem Jackiem, a ten powiada do mnie:

— Toby to wynieść na strych, bo i sprzęt niezdarne i pamiątka smutna.

A było siedzenie stare, skórą obite, wygniecione, bo na niem wiele lat przejeżdżał stryj, rzadko z niego schodząc. Odpowiem tedy przyjacielowi:

— Postawię w kącie, niechaj choć ta po nim zostanie tu pamięć.

A że nas było tylko dwóch w izbie, wzięliśmy za poręcz, aby je z drogi usunąć.

— O dla Boga! — krzyknie nagle pan Jacek — a toć to co?...

Patrzę, a on z pod materaca za kutas skórzany ciągnie trosik, który snąć na złą godzinę przy sobie trzymał nieboszczyk, nikomu o nim nie mówiąc ze strachu, aby mu i tego nie wyłudzili i nie odebrali.

Po worku znać było, że tam niemało czasu przeleżał. Szczęście, że go słudzy nie podpatrzyli, boby i to było przepadło; ale Pan Bóg uchował.

— Otóż wści na inkrutowiny — zawołał p. Jacek, i poczęliśmy liczyć.

Było czerwonych złotych ładnych, obrączkowych dwieście dwanaście, portugał jeden wielki, wagi dziesięciu, i pierścioneł z oczkiem diamentowym, niezbyt wielkiem, jak małego grochu ziarno; na spodzie kartka żółkła, z konotatką jakąś nieczytelną.

Wyrażną uczulem Opatrzność Bożą nad sobą, i pierwszą myślą moją było dać na nabożeństwo za duszę jego, proboszcza zaspokoić sownie, a da-

— Ale, nie udawajże niewinnego — rzecze — klęczała przy galerji... musisz ją znać.

— Jako żywo — mówię — pierwszy ją raz oczy moje oglądały, ale pewnie do śmierci nie zapomnę.

— Tylko się tam daremnie nie zwracaj z afektem — odparł na to Jacek — senatorski dom, duża wielka, trzech braci zawadjaków, starających się ćma, bo posag pański, i zapisy tam jakieś. Bracia jej chudemu pacholce nie dadzą.

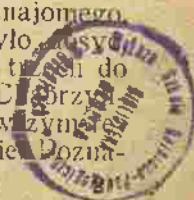
Wstrząsnąłem ramionami, a tuż, widzę, kroczy banda cała na probostwo, kędyśmy też szli. Jacek mnie w łokieć trąca.

— Otóż i oni, panowie Nałęcz...

Poszliśmy do księdza na kieliszek wódki i zakąskę, bo taki już był zwyczaj w tej parafji, że lubił mieć u siebie ludzi.

Na probostwie izba pełna. Kobiętom i mężczyznom zastawiono stoły, co kto chce, ale skromnie... Widzę, i moja owa kościelna znajomość, panna starościanka, ze starszą panią nadchodzi, i wszyscy ją gonią oczyma. Tu mi się dopiero wydała jeszcze cudowniejszą.

Na mnie, jako na nowego człowieka, obrócili się wejrzenia ciekawych; spostrzegli, że i ja nieładajako wyglądał, i poczęli się potrosze garnąć ku mnie. P. Jacek mnie swoim prezentował, ci drugim; wszczęła się rozmowa o wojsku, o towarzystwie, bo tam niejeden miał i znajomego, i krewniaka, więc pytań i ciekawości było wiele. Patrzą, przystępują też i starości, we trzech do nas, a z nimi drab okrutny, pan Florjan Ciochowski, o którym słyszałem już, że był pierwszym łowcą na okolicę i zwady szukał chętnie. Dozna-



jomili się ze mną bardzo grzecznie, gadamy; wtem jeden z nich, młodszy, zaprasza do siebie na obiad. Nie wiedziałem, że wszyscy i z siostrą mieszkają razem, ale powodu odmówienia nie było; pana Jacka też wzięto.

Pojechaliśmy wszyscy, jak kto stał, do zamku ich o półtorej mili. Rezydencja była pańska, dwór wielki, w domu *honeste* wszystko i zamożnie. Zaraz mnie tedy przedstawili i siostrze, i kobietom innym, i godnej matronie, pani podczaszynie, o której wiele już wprzód słyszałem. Ta mnie też zaprosiła, abym ją odwiedził.

Niewielem się do starościanki mógł zbliżyć, ałem w nią, jak w tęczę patrzył, dla nadzwyczajnej jej piękności. Widziało się po świetle niewiast wiele, takiej przecie nigdy. Wspaniałość i łagodność połączone w niej były *mirabiliter*. Świeciła tam wśród niewiast, gdyby gwiazda. Miałem zreczność kilka słów przemówić, i oczarowany zostałem. Całe poobiedzie trwały zabawy rycerskie, ścigania się, strzelania z łuku, z fuzyj i muszkietów, z pistoletów i t. p. Mnie obuszek mój, com go był tak, jak z przypadku, wziął, jadąc, kazawszy Grzesiowi przyczepić do siodła, bardzo usłużył. Umiałem z nim tak dokazywać, jak nikt, a byłem przywykły do jego wagi i rzucałem, jak trzcinką, choć drugi ledwo co mógł dźwignąć. Admirowali więc szczerze tę sztukę, a niemniej, kiedym im pokazał, jak to się z łuku strzela, bo żaden tam tego nie umiał. Bawili się kuszą i strzałami, gdyby dzieci; dopiero ich nauczyłem, że w tem sztuka jest a można tak dobrze w cel wystrzelić, jak i kulą.

Już nie wiem, czy im miło było, że może zrecniejszym nad nich w kawalerskich dopisach ok

załem się, ale musieli mi przyznać, że niedarmo żołnierzem się nazywałem.

Poczęli pod wieczór pić i dokazywać, w czym już nie dopisałem im do końca, i wynieśliśmy się z panem Jackiem nieznacznie. Gonili nas podobno, ale nie złapali.

Już tedy potem do starościców zaprosin było bez końca, że się im i obronić stało rzeczą niełatwą, zwłaszcza, że mnie tam owe piękne oczy ciągnęły. Trafiało się i tak, że prawie sam na sam z panną zostawałem i z ochmistrzynią jej, bo matki nie miała, i konwersowaliśmy z wielką przyjemnością, gdyż panna była tak rozumna, jak piękna, a mowę miała tak gładką, jako lice. Tyleż, mogę rzec, szczęścia miałem w tym domu, co z nią, bo panowie bracia wkrótce krzywo na mnie patrzeć zaczęli. Ale na to się niewiele zważało, chociaż, ilem razy pomyślał, że mnie zły humor panów braci z tego rajy wygnąć może, ciężko mi było.

Gdy się to dzieje, a ja wioszczynę moją z tego trzosika porządkuję, i konie kupuję, i sprzęciku trochę różnego, już tedy coraz wojna owa, z wiosny zapowiadana, bliżej a bliżej — więc i do chorągwi wzywają... Ale napisałem do porucznika, że się na czas stawię.

Tymczasem do starościanki się jeździło, a z braćmi zabawiało, jak to młodzież zwykła. Tylko z nimi już nie pierwszym obyczajem, bo mi widoczniej coraz okazywać poczynali, że niespełna radzi byli, kiedym się do siostry przysiadła. Wszelako już mnie to odepchnąć nie mogło, bo mi tam jakoś bardzo szło szczęśliwie, i w niedługim przeciągu czasu przyszło do tego, iżem jej wyznał mi-

łość moją, za co się nie rozgniewała cale, i otrzymałem tylko odpowiedź:

-- Niechże ten ułekt będzie stateczny, bo on nie mało obojgu nam zmartwienia i trudności przyczyni...

Jakoż się nie omyliła.

Już jak się raz te pierwsze lody połamały, tośmy konfidencjonalnie naradzili się, jak sobie poczynać, aby to do skutku przyprowadzić; i stało na naradzie, iż czekać potrzeba, nie przynaglać.

Najpierwsza ze wszystkich dostrzegła, co się święci, pani podczaszyna, która starościankę Helenę kochała, jak własną córkę; a że u niej miałem względy, okazała i w tem łaskawość swą dla mnie, radząc cierpliwość i wytrwanie.

Już codzień gościem mówiono o wyprawie pod Wiedeń, ku któremu wojska tureckie pod wodzą wezyra wielkiego, Kara Mustafy, dążyły, aby go oblec i zdobyć. Dochodziły wieści z Warszawy o wielkich przygotowaniach, a Lubomirski przodem miał ciągnąć na positek, nimby sam król wyruszył z resztą wojska. Byli tacy jednak, co do ostatniej chwili rezolucji królewskiej nie dowierzali, gdyż się tam na dworze różne opinie ścierały i wpływy ważyły.

W tym składzie rzeczy, który opisałem, niebardzo mi może w smak było iść karku nastawić; ale czułem się, jako inni, *miles christianus*. Ino też, miły Boże, myślałem, coby się z tą wszystką moją imprezą stało, gdyby wojna wybiegła i przydłuższa być miała, jak się tego po nieprzyjaciela uporze i sile spodziewać było można! W Wólce bez miała wszystko jeszcze do góry nogami, jak nie-

boszczyk stryj zostawił, i gospodarstwa ledwie dotknąć miał czas... A moja starościanka!...

Pojechałem w tej alteracji do pana Jacka, gdzie kompanję zastał dosyć liczną a poważną, niemal całe sąsiedztwo, a tu właśnie pan Szemesz, podsędek piński, przywiózł znowu ponowną relację, iż łada chwila ruszać przyjdzie, że już się i dwór królewski sposobi. Więc się tylko westchnęło — a zresztą, co ma być — *sit nomen Domini benedictum*. Wszelako nie mogę powiedzieć, żeby mi z tego wszystkiego bardzo na sercu nie było tęskno.

Rozmowy około tego były różne, a sądy też, jak to u nas nie nowina, niezbyt zgodne. Mówili jedni: iść na Turka; drudzy — przeciwnie, że przymierze utrzymać należało, a rakuskiemu demowi, którego wdzięczność wątpliwa, sukursu nie dawać.

Kiedy pan Szemesz wszedł do komory, w której siedzieliśmy, popijając wino, atoli skromnie, a zawołał od progu: — „Panowie bracia, wici niosę; *larum* bije trąba wojenna. Na poganina z królem!” — uważałem, że niejednemu, jak mnie, twarz pobladła i oko się zaćmiło. I była chwila milczenia, jak makiem zasiał... Dopieroż, gdy pan Jacek, który sam z Turki i Tatary się ścierał, podniosłszy kielich, zawołał: — „Pijemy tedy na zgubę pogan, a podniesienie imienia chrześcijańskiego!” — wszyscy mu zawtórowali ochotnie.

Na powitanie Szemesza, a dla lepszej fantazji, bo tam dużo było z pod różnych chorągwi panów szlachty, kazał pan Jacek, co u niego rzadko, beczułkę zatoczyć do komina i przynieść kielich sporszy. Gdy kolej z naciskiem iść poczęła, a na

dobre ku pijatyce się miało, wyniosłem się chylkiem, i o białym już dniu powróciłem do Wólki.

A jak to wszystko w człowieku od chwili zależy! Kiedym w dziedziniec wjeżdżał, jakby inaczej mi się wszystko tu wydawało, taki mnie żal ścisnął, że to porzucić przyjdzie, mało co tknąwszy. A tu tyle do roboty zostawało! Gdziem spojrzał, jeszcze ku mnie wyzierała nędza i bieda: obory przez bydło ze strzech boobjadane, płoty poobalane... tam ściana koślawa, tu kałuża szpetna...

Miałby tu człek, myślało się, i co poczynąć i czem się pocieszyć, gdyby na złote jabłko tę miłą, acz małą Wóleczkę przerobił. Ale nie jako Ty, Panie Boże, rozkażesz. *Sit nomen Domini benedictum!*

Było to, jak dziś pomnę, dnia dziesiątego *julii*, dzień gorący. Gdziem spojrzał, to mi się *omina* wojenne nawijały. Z biesiady owej wesołej powróciwszy na zaraniu, nie było się czasu kłaść; słońce wschodziło, trochem się obmył i ruszyłem do gospodarstwa... Tylko ja na próg patrzę... na samym gościńcu dwa jastrzęby się tłuką, aż z nich pierze leci, a to tak blisko dworu, żem się już chciał strzelby chwycić, aby ich jedną kulą pogodzić; ale, jakoś się rozerwawszy, poleciały. Poszedłem do stajni konie opatrzyć, bo to potrzeba będzie i pod siebie ze dwa, i pod pocztowych, i pod wozik niezgorszych, aby na wypadek postrzelenia lub zdechu wyprząc można pod kulbakę. Siwy mój, którego chowałem nietkniętym, aby sobie dobrze wypoczął i boki wypełnił — a stał dawno chmurny, z głową zwieszoną — kiedym przemówił do niego, począł rzeć i nogą kopać, aż się rwąc do mnie... Więc w ekspektatywie podró-

ży kazałem mu jeszcze dać obrok lepszy i wszystkie szkapy opatrzyć a pokuć, aby w skok były gotowe, jeśliby nas na wyprawę zawołano.

Serce mi uderzyło, alem westchnął, kiedy sta-
nęło mi przed oczami, co tu porzucić przyjdzie.

A no, wola boża. Gdy, tak myśląc, wchodzę do dworu, wpada za mną Grześ, wołając, iż gości wi-
dać w ulicy. Obróciłem się, patrzę... konnych dwóch i służby kilkoro prosto wali we wrota. Poznałem starszego brata starościanki i tego Heroda, Florjana, co to nie stąpi, ażeby burdy nie spletał. Pomyśla-
łem zaraz, iż coś w tem być musi, kiedy ci goście moją strzechę słomianą nawiedzać raczą: bo ostatnim razem, gdym był u nich, kwaśno na mnie spoglądali i jeden mi bryzgał słówkami, ażem kipi-
ał. No, ale gość, to gość, ma swe prawa. Wyszedłem na ganek i słyszę już z sieni, jak Florjan, na kulbace siedząc, krzyczy do Grzesia:

— Jest pan doma?

Wyszedłem: — Czołem — czołem! — Zsiada-
ją z koni ku mnie; proszę, aby je do stajni ode-
ślali, a starość odpowiada:

— Nie; pojedziemy zaraz dalej, tylko słówko przemówić trzeba...

Proszę ich do środka: jakoś się zawahali, ale przecież chorąży nie pogardził ubogą chatą i wszedł, a za nim p. Florjan. Wprowadziłem ich do pierwszej izby, siedzieć proszę, ale widzę, że szepcą coś do siebie, jakby się naradzali... Kaza-
łem wyrostkowi podać flaszkę wódki i przekąskę: oni się przeciągają po drodze, a na mnie prawie ani spojrzą. Myślę sobie: a długoż to tam tego będzie? Wreszcie począłem o tem i o owem, aż cho-
rąży się odzywa:

— Jakżeś tam waszmość ze swej Wólki rad, czy nie?...

— Czemubym nie miał być rad? — rzekłem. Naprzód, że to dziadowska chata nasza; powtóre, że to mi, jak z nieba, spadło po stryju... a ot, jest za co ręce zaczepić.

Pan Florjan, wciąż chodząc po izbie i przypatrując się to tu, to owdzie po kątach z taką miną, jakby chciał sztydzić, podśpiewywał.

— Ej, mospanie! — rzekł — niewielkież to włości odziedziczyłeś; wioszczyna mała, a jeszcze ją za nieboszczyka wyssali dobrze, ino kości zostały.

Tknęło mnie to do żywego, tem bardziej, że w domu własnym, gdzie się przecie i nie godziło przymawiać.

Rzeknę więc:

— Miłościwy panie a bracie, jak co komu... Nie myślę ja przed światem udawać tego, kim nie jestem: ubogim byłem, to mi i ten zagon miły. Szlachcicowi i tego dosyć, choć panuby mało; a na onych kościach, o których mówicie, może zczasem i mięso porośnie.

— Ale co to mi za folwark! — dodał pan Florjan — Maciek zarobił, Maciek zjadł, na dwa dni z wczorajszym...

Jeszcze się wstrzymywał, i rzeknę mu:

— Ha, no! Co komu Pan Bóg dał. *Sit nomen Domini benedictum*. Masz waszmość zapewne dobra większe, cieszę się nimi, a drugim do małego smaku nie psuj! Widywaliśmy też niejednego, co posiadał większe włości, niż wy, a poszedł z torbami; widywaliśmy i uboższych ode mnie, co do wielkich dóbr przychodzili.

Przycichli tedy, a chorąży się odezwie, spojrzawszy na towarzysza:

— Mówmy-no o tej sprawie, co nas tu przYWiodła.

— Jest tedy sprawa? — pytam.

— A jest — rzecze brat. — Co rychlej z nią, to lepiej.

Milczę tedy, czekając.

— Oto — rzecze — uprosiłem ja pana Florjana na świadki, iż nie w złej myśli, ani bym waszmości chybiać miał, przyjeżdżam; ale się nam rozmówić potrzeba. W bawelnę obwijać nie będę. Waćpan, panie Janie, bywałeś w domu naszym, gdzie jako zanego kawalera i miłego sąsiada przyjmowaliśmy go ochotnie z serca. A no, coś się z tego święci, czemubyśmy nieradzi byli. Mów waszmość szczerze, czy myślisz o naszej siostrze?

— Dlaczegożbym miał się zapierać? — rzekłem. — Jeśli afekt swój skłoni ku mnie, miałbym się za wielce szczęśliwego, gdybym rękę panny starościanki pozyskał.

Na to zerwie się chorąży z pasją.

— Otóż wara o tem myśleć, mospaneńku! Nie ujmuję mu ani szlacheckiej godności, ani przymiotów, ale za wysokie progi na waścine nogi! Senatorska wnuczka, siostra nasza, panna posażna, znajdzie łatwo sobie równego.

Ażem gniewem buchnął na tę impozycję. Plunę przed niego i rzeknę:

— A co mi to waszmość prawisz? Czy toby i w moim domu nie znalazło się krzesło albo i buława, gdybyśmy poszukali? Żem ubogi, tego się ani wstydzę, ani zaprę; waćpanowie też przecie siostry przemocą zamaż nie wydadcie.

Pan Florjan przystąpiwszy do mnie, jak jest drab wielki, myślał, że nastraszy, i szepcze:

— Panie Janie, usłuchajcie dobrej rady, bo gorzej być może!

— Jak to waszmość rozumiesz? — spytam.

— Bierz, jako sobie chcesz! — rzekł.

— Na wszystkim gotów — powiadam — tylko znowu mnie waszmość ani jeden, ani drugi strachem nie odsadzicie...

— A kiedy ja, jako starszy brat, waszeci dom nasz wypowiem? — zawołał choraży.

— Dziwna rzecz — rzekłem, śmiejąc się — żeby kto, pod czyją strzechę wlaższy, swój dom w jego domu wypowiadał.

I począłem, ujawszy się w boki, przedrwiwać.

— Kochanku — przerwie mi Florjan, biorąc za rękę — nie śmiej się, ino słuchaj! Maluczkim jesteś człowieczkiem i nietutejszym; niedawno tu między nas wlażł, siedźże cicho!

— Tak uczynię, jak zechcę — rzeknę z fantazją, bo mi już ta ich buta naprzykrzać się zaczęła. — A waszmoście też róbcie, jak się patrzy!

Jęli się tedy zaraz do czapek. Nie wstrzymałem. Na progu już powiada choraży:

— Czyś mnie waszmość dobrze zrozumiał?

— Nie — rzeknę; — bo, kto nierozumnie prawi, tego zrozumieć niełatwo.

— Ino nie wyzywaj licha, póki śpi — woła Florjan — bo ja ci bakalarza sprowadzę!...

— Choćby się лихо obudziło, to się nie zlekne — krzyknąłem — a bakalarzowi mogę też dać nauczkę.

Działo się to w samym progu; ano, patrze ku

oknu: sady na bułanym Zegrzda prosto do gan-ku... Pomyślałem w duchu: „Pan Bóg go tu wyraźnie zsyła!” i przybyło mi serca dużo.

Florjan porywa mnie za rękę i woła:

— Dobywaj szabli, to się spróbujemy! Wypiszę ja waści komentarz na czołe, co go będziesz miesiąc sylabizował!

— Ino nie tu — zawołałem. — Gośćmi dla mnie jesteście, a u mnie po staremu: nie biją gościa, ani łąją. Chcecie się spróbować, nie od tegom, ale proszę za granicę!

— To podobno niedaleko, jak kijem cisnąć? — spytał, szydząc, Florjan.

— W istocie — rzeknę, — tyle, ile potrzeba, abyś waszmość parę Zdrowasiek odmówił na intencję tego sukcesu...

Wtem wpada Zegrzda; mało się na Florjana nie zwałił, z takim impetem szedł, już trochę rozmowy usłyszawszy, że się do szabel miało. Jemu w to graj, nie może być lepiej. Ci, jak go zobaczyli, ino po sobie zerknęli, ale mnie serca przybyło — i trzymam za słowo...

— Dobrześ mi tu spadł — wołam do Zegrzdy — biore waszmości za świadka, iż mnie tu we własnym domu obrażono i zmuszono do szabli. Alem starego obyczaju pamiętny, gość mi święty: proszę na granicę! Zegrzdo kochany, będziesz mi przyjaciele?

— Będę z serca i duszy — rzekł.

Skinałem na wyrostka, który tam poza drzwiami był:

— Dawaj szable!

Zegrzda, upatrzawszy stojącą flaszę na stole, poszedł się napić; ci już na koń siadali. ale

jakoś milczący; woleliby byli nie mieć świadka. Wyprowadziłem w ganek Zegrzdę i mówię:

— Jeszcze raz biore waszmości za świadka, miły panie bracie. jako ci ichmoście najechali na dom mój, aby mnie pokrzywdzić lekkimi słowy. Niesłychana to jest rzecz i nieszlachecka, mówię śmiało. A no, wolę bożą szanuję, która ludzi używa za narzędzia. Wyzwany będąc w domu własnym, obu waszmościom służe, jeśli potrzeba.

Zmilczeli; siedzą na kulbakach i wasy gryzą. Zegrzda, jak nigdy gadatliwy nie jest, tak i tu, ino się po szabli uderzył, czapki poprawił i oko jedno przymrużył drwiąco, a tuż wodze w garść i już siedzi na siodle.

— Dawaj mi siwego! — krzyczę na Grzesia — wskok uzdę mu zarzuć i derę, choćby bez kulbaki.

Ręce mi się aż trzęsły. Przypasałem do boku swoją zwyczajną na taki raz, starą *indyczkę*, która już niejednemu dała się we znaki. Ci na koniach wszyscy stoją, a tu, jak z bicia trząsł, i dla mnie też ze stajni siwego klusem wiodą, a ten leci, ogona odsadziwszy, tak ochoczo, jakby mnie z pół roku nie widział. Skoczyłem nań, choć nie był osiodłany, tylko mi kilinek popręgą przymocowali. i ruszam szparko z kopyta. Jedziemy milczący... Widzę, że, co mnie fantazja rośnie, to im ubywa.

Wskazałem ręką lasek. Poszliśmy wyciągnętym klusem wszyscy; a miałem i tę satysfakcję, że ich konie za mną siano wiozły. Pierwszy przybiłem do mety; zsiadłem nade drogą u Bożej Męki i przeżegnałem się, westchnawszy do Zbawiciela i Matki Jego, aby mnie, pokrzywdzonego we własnym domu, na pohaniebienie nie dała...

Był krótki spór, czy się kouno lub pieszo potykać mamy, ale woleli na szable i piechotę. Wy-rwał się najprzód ów Herod na mnie.

Zegrzda, jak stał zboku, powiada do chorążego pod nosem:

-- A cóżto, my próżnować będziemy? Ja chora-
żemu służę, jeśli wola i łaska.

I już się miał do szabli.

-- Nie mam do waszmości żadnej urazy --
odparł chorąży -- lecz kielicha i szabli nie odpy-
cham...

Ale ja, posłyszawszy, wszedł między nich.

-- Za pozwoleniem. Moglibyście -- mówię do
Zegrzdy -- uczynić chorążego niezdolnym do wal-
ki, a toć ja się przecie potykać z nim mam prawo.
Zatem *prioritas* przy mnie.

A pan Florjan, śmiejąc się, zdala woła:

-- Nie bądź-no tak skory, a gorąco kapany!
Nie zjesz nas przecie obu; za mało inasz gęby; bę-
dzie ci, myślę, jednego dosyć, albo i za wiele. Ja
cię odprawię, jak należy.

-- Wszystko to w bożej mocy -- odpowiadam.
Jeśli się to stanie, o czem nikt z nas jeszcze nie
wie, będzie na szable ichmościom czasu dosyć --
ale ja moich praw bronić muszę.

-- Słuszna rzecz -- rzekł Zegrzda. -- Po-
czekam.

I włożył swój smyczek do futerału.

Dochodzimy tedy z drabem owym na ścieżkę
suchą; dobrze miejsce opatrzwszy, dobyliśmy
szabel, zrobilem krzyż przed sobą i wołam:

-- Panie Boże żywy! Widziałeś krzywdę mo-
ją, bądź sam jej mścicielem! Twym się wyrokom
poddaję.

— Nie módl się tam, mnichu, a broń się!

Złożyliśmy się raz — nic; drugi raz — darmo. Ten, chcąc mnie ciąć zamachem wielkim, ośliznął się jedną nogą, i widzę, jakim go tylko macnął, leci wtył. Ja go przez łeb; nim się uchwycił, ja go drugi raz! Krew mu oczy zalewa i już krzyczy:

— Dosyć! Dosyć!

— Widzisz — zawołałem, płazem go jeszcze dobrze po plecach poczęstowawszy — że przyszła kreska na Matyska.

Dałem mu tedy pokój: siadł na murawie i nuż, mruczając, do chust, do wody i plastrów z sakiew... a ja do chorażego się zwracam i wołam:

— Służka jegomości!

Jakoś, widzę, zbłądził nieco, nie taki już butny. Ale go gniew pochwycił, i sadi na mnie, ledwie się iniał czas zastąpić. Dopiero, jak się zaczęliśmy siec a rąbać, aż szable jęczą, skry się sypią; ale ani ten temu, ani ów drugiemu nic zrobić nie może. Zegrzda tylko stoi i dziwuje się. Mnie już i ręka drżeć zaczęła, bom i nocy nie dospał, i sił spełna nie było. Myślę sobie, westchnawszy do Św. Jana Nepomucena, orędownika mego, patrona do brej sławy: — „Pomóż a ratuj!” — I w tym samym momencie, pochwyciwszy z ręcznie sposobność, płatnę po rękę, aż mu szablę wytrąciłem, i palec wisi tylko na skórze. Krzyknął: „Jezus, Marja!” pochwycił się za okaleczoną rękę, a jam skoczył i stoję.

— Gdybym miał z kawalerami dobrymi sprawę — zawołałem — wiedziałbym, jak począć: prosiłbym was pod tę ubogą strzechę, pod którąście przyjechali biedzie mojej uragać, a dom mi swój wymawiać. Ale tych, co mnie od siebie pędzą,

ufając w butę swoją, ani śmiem, ani chcę ujmować. Bywajcie waszmość zdrowi, a pamiętajcie, że jakoście doświadczyli, iż się Pan Bóg za niewinnością ujmuje, tak ujrzycie, że dumą gardzi i karci ją.

Siedliśmy na konie z Zegrzda i stępa pojechaliśmy do domu, zostawiwszy tam ich z ludźmi, żeby się lizali, jak chcą.

Dał tedy Pan Bóg wiktoryę, ale niewesołą, bo, myśląc, że Helusi mej najdroższej widzieć nie będą, i że mi ten dom zaparto, który był sercu memu najmilszy, tylko nie płakał. Zegrzda, widząc mnie posępnym, rzekł, wracając:

— Bądź dobrej myśli, wszystko się to jeszcze odmienić może. Wiem, o co szło. Strachy na lachy.

Ja mu na to:

— Juściż, tam noga moja nie postanie więcej.

— Sami cię oni jeszcze może prosić będą.

Wróciliśmy do domu, gdzie przyjaciela przyjąłem, jakem mógł i umiał, bo mi swem przybyciem dogodził bardzo.

Cały dzień do nocy przegadaliśmy, więcej ja, niż on, bo był obyczajem swoim milczący. Tylko to z niego dobył, że już na dobre o wyprawie wszyscy mówią, że też nam lada chwila potrzeba, nie mieszkając, pod choragwie, bo będą jedne wici za troje. A tak się skończył zwycięstwem dla mnie ten dzień, który mógł być pohani-bieniem.

Jedenastego *Julii* jeszcze mi się przyzostał Zegrzda i jakoś mu się trochę gęba rozwiązała, gdy począł o starościńskim domu opowiadać. Senatorski ród, ale siła dopustu bożego przezeń

przechodziło. Dziad panny mej, a ojciec starosty, ożenił się był na Śląsku z Niemką, panną Opelsdorfówną, szlachcianką, niema co mówić, bo i z grafskim tytułem, ale kobietą dziwaczną i więcej podobno lubiącą świat, niżby zamężnej niewieście przystało. Syn jego, znalazłszy po myśli pannę, także Ślązaczkę, stamtąd ją sobie przywiózł. Z małżeństwa tego czworo Bóg dał potomstwa: trzech ichmościów Nałęczów i córkę, moją bogdanę, pannę Helenę. A no, prawie szczęściem było dla dzieci, że matka zawczasu zmarła, bo je już swoi wychowali, szczególnież córkę, którą krewna ojcowska, bardzo bogata a bezdzietna, wzięwszy małą, prawie za własne dziecko przysposobiła i wychowała, majątek jej też znaczny bardzo po sobie zostawiwszy. Więc tak z matki i z ojca, jako z zapisu opiekunki, panna starościanka więcej miała nawet, niż bracia, których trzech na substancję po ojcu było. A to nieszczęsne bogactwo sprawiło, że tam jako o koronę się dobijali przez braci konkurenci. Ludzie wszystko bogaci, renomowani, znacznych rodów i fortun niemających.

Ichmość panowie starościce, że doma przy ojcu rośli, w wielkiej dumie i swawoli się wychowali. Można rzec, na senatorskie wilki to wypędziło: buta ogromna, marnotrawstwo wielkie, rycerstwa prawdziwego i bojaźni bożej mało, a dumy i pychy do zbytku.

Nadszastało się też majątności przez różne ekscesy i pono chciałoby się siostrę tak wydać, aby posagu nie płacić, aby wiano na majątności zapisał jegomość, nie odbierając, a panowie bra-

cia znowu mieli co po trybunach i zjazdach rozrzucać. Ale Pan Bóg sieroty obrońca.

Odjechał Zegrzda ku wieczorowi, a choć mało mówny, przecie mu język świerzbiał, że się wygadał o potykanii się mojem ze starościcem i Herodem. Rozeszło się to piorunem po okolicy, a że ichnościów niespełna szlachta lubiła, ten i ów przybiegł winszować, że mi rozumu nauczył, i radość była powszechna, i mnie omal na rękę nie nosili.

Przyjechali zaraz pan Grabowski i Sierociński, i nuż ścisnąć i całować.

— Bóg ci zapłaci! Toś się gracko spisał! Powetowałeś honoru swojego i naszego. Będą na przyszłość ostrożniejsi ze szlachtą. A waszmości, nowo tu przybyłemu, posłuży to wielce, żeś sobie w kaszę napłuć nie dał.

Zegrzda też rozniósł, jak się to stało, iż byłem cierpliwy i zimnej krwi do samego ostatka, a oni sobie lekko wazyli człowieka rycerskiego stanu, pomiatając nim tylko dla jego ubóstwa.

Byłoby mi to zwycięstwo na inkrutowiny między bracią szlachtą bardzo na rękę, gdyby goryczy nie dolewała myśl, że mi już starościanki widzieć nie miał, ani się zbliżyć mógł do niej. Boćby mnie byli rozsiekali z gniewu, tak się odgrażali, gdybym się im na ich podwórzu pokazał.

Myślałem tedy: albo ją jeszcze spotkam w kościele, lub już nigdzie, póki Bóg łaską Swą rzeczy nie odmieni. A oto i listy, wzywające do powrotu pod chorągiew, nadeszły, i nie było co myśleć, tylko na koni co najśpieszniej, aby wstydu nie pić, ostatnim będąc.

Naradzaliśmy się tylko z Grabowskim i Zegrz-

dą, jak się wybrać. Jam clicia! jak najszczuplej-
szym dworem, by w takim ciągnienu, przez cu-
dze zwłaszcza kraje, a Bóg wie, jakie dro-
gi, nie zawadzać obozem i taboru za sobą
nie wlec, coby nas ociągał. Wszyscy się na to
zgodzili, że miał słuszność; ale, jak przychodzi-
ło do pakunku, tego i owego żal porzucić, to i owo
zda się; pacholik wepchnie węzelek, ktoś beczuł-
kę, jeszcze to, jeszcze tamto... i góry się zbierają,
a rycerz wygląda, jakby kotary wiół za sobą.
Jam jeden tylko dobrze kuty wózek węgierski
wziąć postanowił; a była w nim zbroiczka druga,
lżejsza, trochę szat, trochę szmat, mało co zapa-
su na głodne dni — i po wszystkim. „Ślonina
a jagły, dosyć na czas nagły”.

Już tedy lada godzina ciągnąć było potrzeba,
a tu serce podszeptywało, aby ją jeszcze raz choć
ujrzeć... Tożem rychtował, pakował, a wciąż się
zdało, że tego i owego brak, aby chwilę jeszcze
wyjazd opóźnić.

Anim przeczuł, jak mnie Pan Bóg w łasce Swej
miał pocieszyć.

Kazawszy jeszcze osie zapaśne i kół parę
okuć, wstrzymałem się dzień, dlatego, że ponie-
działku nie lubił do wyjazdu i w kalendarzu był
feralis. Dawszy tedy na mszę świętą przed ołta-
rzem Św. Stanisława, do którego tem większe
mam nabożeństwo, że mu mojej krwi ludzie wy-
rządzili krzywdę — pojechałem raniusieńko jej
wysłuchać. Powracam do Wólki, a tu mi Grześ
daje znać w progu o posłańcu od podczaszyny,
którego pod nieobecność moją — bo chłopiec nie-
głupi — przyjął przystojnie i utraktował. Tknął
mnie zaraz ten poseł, że to tam nic złego być nie

mogło, chyba dobre. Wszedłem do izby, patrzę... a tu Jeremi, podczaszyny zaufany, człek pocciwy z kości, prawa ręka w domu, który mnie też kochał zawsze. A jako mnie zobaczył, skłoniwszy się, powiada, że podczaszyna zaprasza na rozmowę i z obiadem czeka, abym zaraz pośpieszał i nie długo mieszkał, boby się pieczyste na rożnie wysuszyło. Uczestowawszy jeszcze i uściskawszy posła, kazałem sobie podać karego podjezdka, bom siwego przeciw podróży oszczędzał; chciałem, aby się wystał i wypoczął. Mało co około ubioru poprawiwszy, puściłem się do Sorokowa.

Jeremi, że wózkiem jechał, wtyle pozostał, bom, drogi nie pilnując, miedzami się puścił, aby prędzej. Nierazem to ja sobie myślał, czy też gdzie na świecie trafi się tyle osobliwszych dworów i ludzi osobliwych, co tu, u nas. A wszystko to serce czyni, które jest wielkie, i fantazja, która jest niemała. Niechżeby mi kto pokazał taki wdowi dwór u obcych, jako był tej zacnej pani podczaszyny, albo tak osobliwe życie, jako jej było. Młodo zamaż poszedłszy, męża na wojnie, a sześcioro dzieci w kolebkach utraciła, sama jedna została na świecie, piękną jeszcze, młodą i bogatą. Ludzie dla niej głowy tracili: przecież sobie żywot prawdziwie wdowi obrała. Ubrawszy się w żalobę i odprawiawszy wszystkich ichmościów, poczęła po swej myśli życie prawdziwie święte.

Opatrznością też dla okolicy stała się podczaszyna. I oto już lat dwadzieścia naówczas było, od kiedy się ten porządek osobliwszy u niej zaprowadził, a trwał niewzruszony.

Nie było rodziny — stworzyła ją sobie jejmość; dwadzieścia panien szlacheckich na wychowaniu

miała zawsze, gdyby w klasztorze, tylko weselej, niż za kłauzurą. Wszystko to brało się ze szlachty ubogiej, a na żony i gospodynie dla szlachty chowało. I co jedną wydała, a wesele jej sprawiła, ciągnęło zaraz kilka na to miejsce.

W zamku nikogo, tylko siwowłose starce, fraacymer ten osobliwy i ona, kapelan starowina i ochmistrzyni. Kiedy to tam do stołu siedzie wszystko, gdyby wianek z róż i lilij, podczaszyna jak królowa wygląda pośród tego dworu. Tak, nie mając swoich dzieci, przybrała sobie cudze, a opiekuje się niemi, jakby w istocie własne jej były, i, chociaż już zamaż powychodziły, o każdą swą wychowankę dowiaduje się, pomaga, obsyła. To też podczaszynę kochają wszyscy, a uboga szlachta porabaczy się za nią dała. I nie znudzi się tam nikt w tym klasztorze jej: mimo rygoru takie wesele a ochota wszystkim z oczu patrzy; ano święte i pobożne wesele. W zapusty przystojna młodzież i skrzypki się znajdują, ale pod okiem dobrodziejki i skromnie; dom też niepusty zwykle, a biedny szlachcic, szukający skromnej i pocziwej towarzyszki, jak w dym goni do Sorokowa, do podczaszyny. Niemalo ich też w okolicy, co się z temi podczaszankami poženili (bo je tam wszyscy tak nazywają), a żaden nie żałował.

Tylkom z karego zsiadł, a z pyłu się otrząsł trochę, slysze... aż tu na obiad dzwonią i białe gaski z małego dworu ciągną, a stary dworzanin, który w ganku stał, prosi mnie, że podczaszyna w sali czeka z barszczem. Skoczyłem tedy do ucałowania ręki staruszki, już tu wszystkich znajdując uszykowanych wedle stołu, samą panią w czarnym kwefie (bo tak całe życie chadzała).

ochmistrzynię, panią Zuwalską, staruszka kapelana i wszystkie panuy. Okrom tych, które przy stole siedzieć miały, z kolei były wyznaczone jedna do gospodarstwa kuchennego tego dnia, druga do przyjęcia i zastawy; dziewczęta wiejskie posługiwały, sposobiące się na szwaczki i kucharki... ano, królestwo amazonek, gdyby nie nas dwóch z kapelanem. A śliczności, jak to wyglądało, gdyby wojsko jednako umundurowane, podzielone, z jednakiemi wstążeczkami we włosach.

Ledwie przypadł do ręki, rzecze mi staruszka na ucho:

— Po obiedzie mam ja waszmości coś powiedzieć; ale zażywajcie bożego daru spokojnie, bo sądzę, że to wam nie będzie przykro.

I uśmiechnęła się. Wskazano mi miejsce; usiadłem, z niemalą ciekawością czekając końca obiadu. Gadaliśmy o tem i owem, najwięcej o przyszłej wyprawie przeciw poganom, o której się tu dowiedziałem wiele, bo listy otrzymała podczaszyna, że wezyr już był pod Preszburgiem i ciągnął w ogromnej sile na stolicę cesarską, z której cesarz jegomość już do Linzu uszedł, ścigany przez Tatarów; więc, że nieochybnie nam pośpieszać będzie potrzeba ku odsieczy, nimby stolica okrażona do ostateczności przywiedziona była. Pisano, że nuncjusz Ojca Świętego, Pallavicini i poseł cesarski Wilczek, naglili bardzo na króla; ale tam jeszcze intrygi francuskie coś około tego psuły. Ostatecznie wszakże w sercu króla jegomości przemógł interes chrześcijański, mimo, że z domem rakuskim nigdy w serdecznościach nie był, a raczej się go obawiał, niż miłował. Podczaszyna, jako to była statystka wielka, toż i kapelan, ciągle

w to bili, mówiąc o odsiecz naszej, że pójdziemy na pomoc nie cesarstwu, ale sprawie całego chrześcijaństwa; powiadano, że i król tę rzecz tak rozumiał, a nie innym powodem dał się skłonić do traktatów.

Gdy się obiad skończył, a kapelan modlitewkę zwykłą odmówił, podczaszyna mi rękę podała i, zostawiwszy panny swe z ochmistrzynią w sali, zaprosiła do gabinetu na rozmowę. Tu kazała mi usiąść wedle siebie, chociażbym był przed nią stał, szanując ją, jakby rodzoną matkę, ale, gdy kazała, nie było sposobu. Obróciwszy się tedy do mnie i pogroziwszy mi, pyta:

— Cóżęś mi to waszeć za brewerję zrobił z panem chorążym i z panem Florjanem, obu ich na jeden raz szpetnie pokaleczywszy?

— Podczaszyno dobrodziejko — rzeknę — Bogiem się świadcę, niech tak zdrów do domu dojadę, żem ja temu nie winien. Ani w obyczaju, ani w humorze tego nie mam, choć rycerskie rzemiosło traktuję, abym ludzi na rękę ladajako wyzywał, tem-ci mniej pod własną strzechą, *quod Deus avertat*. Ale się stała rzecz niesłychana, iż mi ci ichmość, przybywszy do Wólki, na moich własnych śmieciach afront uczynili, prawie się sami dopominając szabel. Nie mogłem tego przeniesć z honorem, a sam Bóg, mściciel pokrzywdzonego, dłoń moją prowadził.

— Ale mój panie Janie — odparła mi na to podczaszyna łagodnie — temeście sobie szkody niemałej przyczynili i drzwi domu zamknęliście sobie, gdzie was niejedno oko mile widziało.

— Ależ mi oni wprzód z impozycją i pogroźkami dom swój wypowiedzieli — rzekłem na to.

-- Byłoby się to dało załagodzić — powie podczaszyna — a teraz?...

-- Moja mościa dobrodziejko — rzeknę -- jaka jest wola boża, taką przyjmuję. Szwanku na honorze szlacheckim i żołnierskim, choćby dla osoby mi najmilszej, przenieść nie mogłem; a i to dodam, że w oczach tych, u których mam cokolwiek łaski, i tę trochę straciłbym musiał, gdybym więcej ścierpiał od tych ichmościów, niżeli przystało. *Sit nomen Domini benedictum...*

Pomyślała trochę podczaszyna i roześmiała się łagodnie...

-- Cóż dalej poczynać myślicie? — pyta. -- Wszakże to panna Helena od tego dnia utulić się nie może, a bodaj ci tego nie ma za złe, żeś sobie tą krwią drogę do niej zagroził.

-- Własnejbym nie żałował dla niej — odpowiedziałem na to — ale ufam, iż zrozumie, że ta rzecz inaczej skończyć się nie mogła.

Jałem tedy opowiadać wcale jak się to miało, powołując się na Zegrzdę, który był niewinności mej świadkiem; a dokończywszy, ścisnąłem kolana podczaszyny, prosząc, by mi orędowniczką być chciała przed panną Heleną, żem sobie lekko nie postąpił, a inaczej honor rycerski nie pozwalał.

-- Przed wami — dokończyłem — mogę odkryć całe serce moje, gdyż się w niem niczego nie wstydam; a panią podczaszynę dobrodziejkę szanuję, jakbym rodzonej matki więcej nie mógł. Kocham pannę Helenę, Bóg widzi, afektem szczerym i czystym, a jakom w duszy ślubował jej wiare, tak też dotrzymam. Ona mi nic nie winna, nie mogę się wbijać w tę pychę, żebym na jej przywiązanie miał rachować. Jeśli zechce, może począć

z sobą, jak Bóg natchnie. Co do mnie, będę z ufnością na lepsze czasy oczekiwać, zawsze przenosząc to, co powinność każe, nad to, czegoby dusza pragnęła.

— I dobrze waszmość czynisz, że tak trzymasz — rzekła mi podczaszyna — bo teraz, gdym od was to usłyszała, powiedzieć wam dopiero mogę, iż panna Helena przed braćmi wczoraj uroczyście, z determinacją prawie męską zapowiedziała, iż za nikogo innego nie wyjdzie, tylko za waszmości, choćby lat dwadzieścia czekać miała. Były i fochy straszne, i odgróźkie wielkie, ale ona, jak mur stanawszy, ze swoim wyszła...

Aż mi się świat rozjaśnił, gdym to usłyszał, jałem, przypadłszy znowu do kolan podczaszyny, ręce jej całować.

— Ano mi waszmość nie dziękuj — rzekła ze łzami w oczach — tylko jej, bo to jest niewiasta, jakich mało, takiego ducha i serca, iżby męczyznę niejednego zawstydziła. Staraj się na nią zasłużyć.

— Ubogim-ci jestem — odpowiedziałem — a dary fortuny w rękach bożych; imię, choć niepoślednie, nie pańskie też noszę; reszty się z bożą pomocą dorobić myślę...

Wstała tedy staruszka wzruszona i rzecze:

— Jeszcze jedno od starościanki poselstwo sprawić do was muszę: oto prosi i zaklina, abyś nie starał się z nią widzieć, gdyż tam wielkie są na waszmości odgróźki i przechwałki. Prosi, abyś zaraz do choragwi jechał; w ostatku, abym wam tęskno nie było, bez jakiegoś dowodu życzliwości jej puścić się na tę wojnę, która się zapowiada. przysyła waści przeze mnie pierścioneł. jako za-

kład, iż mu wiary dotrzyma. Kazała mi rzec, abyś wytrwałem sercem znosił oddalenie i przeciwności, a w jej sentyment stale wierzył, choćby też inne wieści szerzyć chciano.

Już tedy miary nie było szczęściu mojemu, gdy ową obrączkę ujrzał, którą mi podczaszy-na oddała. Zaraz matki mej ślubną wzamian wreczyłem dla Helusi, a nie ręczę, bym nie płakał, choć rycerzowi niebardzo to przystoi. Staruszka też, błogosławiąc mnie, jak syna, dobrze szlochała.

Na tem się skończyło, alem, wyjechawszy z Sorokowa, tak był jakoś uniesiony szczęśliwością i wdzięcznością przejęty, że mnie gwałtem niemal ciągnęło wpaść do Nałęczów, choć na chwilę, aby nogi starościanki ucałować, postanowiwszy niezmiennie natychmiast do chorągwi ruszyć.

Więc przez cały czas powrotu bilem się w sobie z tą myślą: „Jechać do Nałęczów, czy nie?“ Ale stanęło na tem, by się jej wola spełniła, nie żebym się tam miał kogo obawiać, lecz by jej przez to nie przyczynić utrapienia.

Takie w sobie czułem męstwo naówczas, iżbyni się na kilkunastu porwał i przemocy nie uląkł, ale rzekłem sobie: „Niech się lepiej też i krwi oszczędzi“. Postanowiwszy więc na ręce podczaszyny list dać do starościanki, powróciłem do domu, dając sobie słowo, iż natychmiast, *sine mora*, wozy pakować każe i do chorągwi wyruszę.

Już mrok padał, gdy do Wólki powrócił. Pa-trzę... w dziedzińcu konie jezdne wodzą. Domyśliłem się gości. Czekali na mnie w ganku: pan Jacek, co mi za ojca stał. Zegrzda, co mi jako brat

wygodził niedawno, i Grabowski, nad którego i krewny lepszymby być nie mógł. A jako mnie zobaczyli zdala, podnieśli czapki do góry i wołają:

— Winszujemy! Winszujemy!

Myśle sobie: „Co u kata? A to już chyba spenetrowali, poco do podczaszyny wzywany byłem, i jaki tam drogi dar mnie spotkał!”

Lecz całe co innego się święciło, czego się nie domyślałem.

Gdym z konia zsiadł, ujął mnie pan Jacek i począł serdecznie ścisnąć, ukazując list, który trzymał w ręku, czegom zrazu nie zrozumiał. Bo iakże miałem się domyślać tego, czego zgola pojęcia nie miałem. Więc stałem, nie wiedząc, co począć, i rzeknę do pana Jacka, jakem go nawykł nazywać tatkiem:

— Tatku miły, powiedzcież mi, czego winszujecie i czego się cieszyć, bom, Boże odpuść, jak w rogu i nic nie wiem.

— Jeśli masz czem — rzekł na to Jacek — dawaj wypić swe zdrowie i sukcesów rycerskich, a potem dowiesz się reszty.

Grześ stał za węglem. Skinąłem nań: — „Dawaj miód kapucyński!” — A ten, jakby już był na to przygotowany, niesie butel i szklenice.

Zawsze jednak nieświadom rzeczy, nalewam, aż Jacek się odezwie:

— Niesłuszną rzecz, abyśmy mu wprzód o jego szczęściu nie oznajmili; lepiej mu miód przez gardło pójdzie...

A ja stoję ciągle, jak ten, co go powiesić mają, a nie wie, za co.

— Zlitujcież się — wołam — a nie trzymajcież

mnie tak za jedną nogę w powietrzu. Mówcie, co jest, bym się cleszył, albo-li też smucił!

— Słuchaj — ozwał się Jacek — spotyka cię szczęście, istotnie wielkie, którego ja niegodnym jestem sprawcą, a lepiej mówiąc, sam Pan Bóg, używszy mizernego sługi za narzędzie. Litowałem się waszmości, ażebyś tak na tę sposobiącą się wyprawę miał iść bez przyjaciela i wodza, osobliwie dlań skłonnego, przeto bez wiedzy waszej udało się to uczynić, iż waszmości do orszaku samego króla, a do boku królewicza, odkomenderowano z chorągwi. Oto i ordynans dla waszmości, w którym stoi, ażebyś niezwłocznie wprost do Warszawy i Wilanowa się udał, skąd ze dworem dalej na ewenta, da Bóg szczęśliwie, niech Opatrzność prowadzi! Powiedzcież, azali nie było powodu miodem podlać nowiny, której waszmości niejeden towarzysz pozazdrości?

Jąłem ścisnąć pana Jacka, bom, niebardzo nawet rozbierając ową wiadomość, czułem, iż mi to nie może posłużyć inaczej, tylko ku przyszłej krescytywie. Boć człowiek, ufny w to, że swoją sprawia powinność całem sercem, już wiele otrzymał, gdy ją pod okiem samego wodza a króla pełnić może i dać się mu ocenić...

Fawor też był niemały u boku bohatera iść na taką wyprawę, w której bodaj nie świata losy rozstrzygać się miały. Aż mi się w głowie zmaciło — a Jacek, a Zegrzda i Grabowski winszowali, i śmiali się, i aplaudowali, wróżąc, jako z wielkim łupem honorów i wszelkiej zdobyczy z onej imprezy powrócę.

Wszak-ci wszystko było w ręku bożych, tak zło, jako i dobro.

Myślałem też jeszcze, jako ja tam, chudy pacholek, do pańskich dworów i obyczajów nienawykły, radę sobie w tym świecie, dla mnie nowym, dać potrafię... I wypowiadałem się z całej myśli panu Jackowi; ale mnie zakrzyczano, że to tam nie święci garnki lepią, że, prostą drogą idąc, wszędzie człek trafi do celu.

A tuż dodał pocziwy tatko, że, jeszcze nim do Wólki z listem i ordynansem przybył, puścił już pomiędzy ludzie, szczególnie dla Nałęczów, wiadomość o tym faworze, który mnie spotkał, aby się też trochę zazdrości najedli i żółkli. I śmiał się, wiedząc, jak to im nie w smak pójść musiało; jam zaś tylko myślał, że starościance serce urośnie, gdy się dowie, że w tak dobrej komitywie mam się sławy i chleba dorabiać...

Nie było czasu zbytnio ucztować; więc do wieczoru pogawędziwszy, na jutrzejsze rano wybór w — daj, Boże, szczęśliwą — drogę naznaczyłem, pomodliwszy się na tę intencję.

W Wólce gospodarstwo i wszelkie staranie o chudzinę tam moją wziął na siebie tatko, za co mu, równie jak za wszystko, nieskończone winieniem dzięki, aby tylko odsłużyć.

Nazajutrz *summo mane*, bom też i spać z wielkiej radości niebardzo mógł, wzięło się do pakowania wozów, rzeczy, zapasów i wszystkiego, com z sobą zabrać przecie musiał. Tu tedy kłopot nowy, by się zbyt nie obciążyć, albo potem łada czego w drodze nie płacić gotowym groszem. Zawszem był tego zdania, że się żołnierz małem powinien nauczyć obchodzić, co u nas nie wszyscy umieją. Przyjdzie ciągnienie, wlecze się wozów, a ciurów, a podwód wszelkiego rodzaju, że tego

będzie więcej niemal, niżeli wojska całego; więc i dla ubogiego ludu po gościńcach i stacjach ciężar niezmierny, i wojsko nieobrotne, i po złych przeprawach w roztopy szkód i marnowania bez miary. Panowie oboźni i strażnicy niedosyć tego pilnują; drugi husarz, miasto trzech wozów, co je mieć powinien, a czego bardzo dość. choćbyś go z pacholkami liczył, często sześć za sobą wlecze z domu, a potem i dwóch nazad nie przyprowadzi, bo konie głodem, a wozy się na rozdrożach pomarnują.

Więcem też ja, choćbym się miał trochę po chudopacholsku na dworze pokazać — niechaj sądzą, jako chcą — nie wziął, ino jeden wóz i Grzesia, bo poczet i tak przy chorągwi miał pozostać, a zdałem go na dobrego przyjaciela, Przyluskiego, żeby tę czeladź na oku miał. Około południa byliśmy w gotowości, i konie, i ludzie. Opatrzyłem od kopyta do ogona, od koła do dyszla, od podeszew do czapki każdą rzecz, i w Imię Boże wyruszyliśmy z Wólki, przeżegnawszy się i odmawiając: *Sub Tuum praesidium*.

Kiedym ino się obejrzał na ten mój kątek miły, co mi go Pan Bóg odniedawna dał, kiedym przypomniał, co mnie tu spotkało, począwszy od onej chwili, gdym na katafalk stryja przybył, a starościanki lice stało przede mną, gdyby żywe — nie ręczę, że się tam po wąsach perłowa lza nie potoczyła. Ale się z tej babskiej czułości musiałem otrząsnąć. *Sit nomen Domini benedictum!*

Droga szła mimo kościoła i plebanji. Niechby Bóg uchował, bym poczwiwego księdza nie miał nawiedzić, pożegnać i prosić błogosławieństwa, tem bardziej, że się miało ku nieszporem, a był

dzień albo sobotni, lub wigilja święta, tego dobrze nie pomnę. Zsiedliśmy tedy z koni. Widzę, ksiądz z brewjarzem idzie właśnie do kościoła, a ujrzawszy mnie w zbroiczce i po podróznemu — może też co i wiedział o wyjeździe — witając, zawołał:

— Zajdźcie, synku, przed ołtarz Pański, nigdy ci to nie zaszkodzi, że z Bogiem poczniesz; ojcowie tak czynili, a było im z tem niezgorzej.

— Szedłem do was po błogosławieństwo — odpowiedziałem — westchnijcie za mną!

Ten już nic nie rzekł, ino mi ręką wskazał kościół; więc, wszedłszy, pokleknąłem, a dusza się sama modliła. Spojrzę na to miejsce, kiedy pierwszy raz w życiu starościankę klęczącą widziałem, i myślę, że mi się w oczach zdwoiło. Patrzę i nie wierzę: widzę ją klęczącą i modlącą się na tem samem miejscu...

Ze w dziedzińcu ani kolebki, ani ludzi nie dostrzegłem zrazu, tak mnie to zdumiało, jakby cud jaki. Więc goręcej jeszcze modliłem się, i wielka siła a ufność w opiekę Opatrzności wstąpiły we mnie.

Odśpiewał ksiądz nieszpory, potem skinął na mnie, abym do ołtarza przystąpił. Poszedłem ja i Grześ po błogosławieństwo. Dopiero, kiedym już od niego wracał, ujrzałem jej twarz, obróconą ku krzyżowi, modlącą się, a tak świętości pełną, jakem nic w życiu nie widział piękniejszego i pono na ziemi nie ujrzę. Zdawało się, że mnie nie widziała nawet, tak była w modlitwie zatopiona.

Więc, wyszedłszy, stanąłem we drzwiach, niby posąg. aż po chwili słyszę szelest jedwabnych szat i czuję ją blisko, anom oczu nie śmiał podnieść.

— Za dobrą to wróżbę mam — rzekła mi pocichu — że się tu w kościele, u ołtarza spotykamy jeszcze... Bóg wam szczęść, panie Janie! Słubowałam wiarę i dotrzymam. Pamiętajcież i wy, że na waszą rachuję! A nie zrażajcie się niczem. nawet, gdyby was doszły wieści, że słowo zła-
mała; nawet, gdyby wam pierścień odnieśli.

Tylkom jej rękę całował, słowa rzec nie mogąc.

— Szczęść wam Boże! — powiedziała raz jeszcze.

Oczy miała łez pełne; a i jam był nieweselszy, choć spokojny.

— Staroscianko, pani moja — rzekłem — prędzej umrę, aniżeli się zmienię, a do żywota mego nie wyrwie mi nikt z serca tego obrazu, który w niem noszę. Przysięgam wam na Chrystusa ukrzyżowanego w tym ołtarzu: waszym ja sługą na wieki!

— Pora się rozstać — szepnęła mi — ludzie źli, oczu dosyć. Niech Bóg was prowadzi i odprowadza do nas!...

Wrościem był w ziemię, tak mi od niej ciężko odchodzić się czuło; ale gwałtem się prawie wyrwałem, tylkom widział, jak mnie zdała przeżegnała. Proboszcz na drodze czekał i dodał:

— Na koni, synu mój, w drogę! A z Bogiem!

Więc już nie było co zwlekać. Dosiadłem siwego i ruszyłem z kopyta, na wóz i Grzesia się nie oglądając, którzy mnie aż pod lasem dopiero dogonili.

Opisywać nie będę, z jakimi myślami w dalszą ciągnąłem podróż, w jakowych dumach i tęsknotach a niepewności jutra; bo i dwór, i król, i te nowe obowiązki dawały do namysłu.

Warszawę mało co znałem, a Wilanowa wcalem nie widział. Ścisk, tłok, wrzawa, że mi się ledwie lichą gospodę wyszukać udało; a dobrzem musiał Grzesia wyuczyć, aby się wyciągnąć w pole nie dał, bo w takim zbiegowisku różnego rodzaju ludu pewnie i złego dosyć. Poszedłem na wzwiady, jak mi się tam do tego dworu dostać, meldować, z kim gadać; ale, jakby na złość, żywej duszy znajomej nie spotkałem.

[Ano, wiedzieć jeszcze trzeba, żem króla żywego też nigdy nie oglądał, ino tyle, co na pieniądzach i na wizerunkach. Przebiegłszy miasto całe, dobrze niecierpliwy już, puściłem się pod wieczór ku temu Wilanowu za wskazówką ludzi, aby choć wiedzieć, którędy nazajutrz z moim taborem jechać. Wieczór, jak dziś pamiętam, był pogodny, a po gorącym dniu powietrze tak miłe i chłodnawe, jak rzadko podczas upałów w lecie.

Jużem był drogą uszedł kawał spory i nie było po co dalej; ale w polu czułem się jakiś rzeświejszy, i szło się już tak, aby sobie iść. A mijalo mnie ludzi konnych, pieszych, na wozach bardzo dosyć. Żem szedł prędko, napędzam szlachcica w poważnych latach, tuszy okazałej. Ten sobie idzie samopas, ręce wtył złożywszy, w letniej czapce białej, bez szabli, jakby koło domu; kitel na nim jasny, jakiego na wsi używają, laska za plecyma w rękach, a para psów przed nim. Myślę sobie: „Nie chybi, ktoś ze dworu; dobrze dostać języka”.

Przyśpieszywszy więc kroku, równam się z nimi, a że człek w latach i bardzo słusznie wyglądał, skłoniłem się mu, przystanawszy. Ten też mi czapki uchyła i przystaje, a patrzy mi w oczy.

— Czołem.

— Czołem.

— Coś mi to waszmość obco wyglądasz -- mówi.

— Tak wyglądam, jakem jest, mój mości do-brodzieju --- odpowiedziałem. — Prawdę rzekłszy. pierwszy raz w tej tu stronie.

Przypatrzyłem się twarzy: piękna była. Was sumiasty, czoło wysokie, oczy jasne i coś dobrego a smutnego miał w obliczu.

Idziemy dalej.

— Cóżto tu waszmości sprowadza? — pyta zuowu.

A ja mu opowiadałem całą moją historję, począwszy od wojska. Słucha, rozpytuje. Doszedłem do tego, jakem ordynans dostał, i tknąłem tej mojej biedy, że, nowicjusz, ani wiem, jak się to dostać, z kim mówić i komu się kłaniać.

— Boć wiem -- powiadam -- że to do króla jegomości niżeli się człek doprosi, przez wiele alembików przejść potrzeba; a straszniejsi ci ludzie, co majestat otaczają, od samego onego majestatu, który ojcowską słynie dobrocią.

Ten mi się w oczy popatrzywszy, rzecze:

— A to może i słuszość waszmość masz. Ale kiedy się to już sądziło nam spotkać, ja waszeci pomogę. Mam tam znajomych u dworu.

— Bylbym panu memu stokrotnie i póki życia mojego wdzięczen — odpowiedziałem -- boćbyś mi ojcowską łaskę uczynił.

— Słuchajże-no -- powiada mi, przystanawszy -- już dziś nie pora, ale jutro rano przybywaj do Wilanowa i melduj się wprost do Duleby. Powiesz

tylko, że cię pan Orondat Tarcza przysłał, bo ja się zowie Tarcza, a ja go dziś uprzedzę.

Chciałem, nie inkomodując go, zaraz pożegnać i wracać, ale mnie wstrzymał.

— Nie bądźże waszeć tak gorąco kapany — rzeki. — Ja lubię pogawędzić, a jegomość mi się podobasz z tego, co słyszę. Siadźmy-no tu na kłodzie, to sobie pogadamy.

Leżało drzewo, od wiatru obalone, nieopodal drogi; szedł mój towarzysz ku niemu, ja też za nim; siedliśmy, a ten mnie dopiero na egzamin.

Od kiedy żyję tak ciekawego a bystro umiającego z człowieka wyciągnąć, co ma na dnie duszy, nie spotkałem. Tak mnie rozochocił, że mu całe *curriculum vitae* od deski do deski, a może i za wiele nawet wygadał. Ale na duszy mi przyzbięrało tęsknoty tyle, iż rada była, że ucho względne znalazła.

— Mój jegomościuniu — rzekł wkońcu pan Orondat Tarcza — ze wszystkiego widzę, żeś kawaler zacny, i winszuję królowi jegomości, iż go dostanie na tę porę. Nie zmieniaj sentymentów, w Bogu ufaj; ano On większe cuda rabił, niż te, o którebyś Go miał prosić. Ale ja też — dodał — dworu się dotykał, patrzałem na wiele przygód w życiu; widziałem, jak to się tam ludzie psują. Zachowaj waćpan tę duszę i serce proste, szczere i prawe, nie naśladowaj fałszu, choćbyś widział, że nim ludzie dochodzą do czegoś. Bo to szatańskie mamidło ta pomyślność, którą się kupuje ofiara sumienia. A wstając, dodał:

— Teraz waści do miasta czas; nie zapomnijcież jutro rano się stawić i do Duleby się meldować. ten już na wszystko poradzi, bo to mój dobry

przyjaciół. I no mi też swe nazwisko daj, żebym go nie przepomniął.

Dobyl tedy z kieszeni małej książki i ołówek, zanotował, potem się skłonił i, gdyśmy do gościńca doszli, jam do miasta musiał pośpieszać, a on — widziało mi się o mroku, iż tak o sta-je może, gdzie stały kolasy — do wozu jakiegoś siadł i pojechał.

Wróciłem raźniejszy do gospody. „Istna, myśle sobie, Opatrzność Boża nade inną, zem tego Orondata Tarczę napotkał“.

Nazajutrz, że się po owej nocy chłodnej na wielki skwar zbierało, myślałem rano z końmi się dostać choćby do jakiej gospody w tym Wilanowie, aby ich nie pozamęczać; wyciągnęliśmy tedy uczciwie.

Droga z Warszawy nie była długa. Przybyliśmy, alisci o żadnej tam gospodzie i myśleć nie było można. Pańskie dwory i ludzie taborem pod namiotami stały, a ciżba, a tłum, jak w samej stolicy, jeśli nie gorzej. Gmachów też mnóstwo, nie wiedzieć dokąd się udać, a u każdych drzwi, co straży, pachotków, dworzan, ludzi rycerskich, cudzoziemców — nie policzyć. Znalazłem się jakby u wieży Babel, samotrzeć wyglądając tak niepo-częśnie, że aż mi się rumienić przyszło. Postawiwszy tedy wóz z Grzesiem wedle jakiegoś płota, gdy godzina słuszna przyszła, nabrałem otuchy i wszedłem w dziedziniec paradny. Myślę sobie: „Do tego Duleby ja tu niełacno trafie, ale na końcu języka musi być“.

Na lewo, w skrzydle, u pierwszych drzwi, patrzę: stoi sobie człek w latach, figura dosyć okazała, chociaż nie tak, jak mój wczorajszy pan

Orondat Tarcza; ręce w kieszenie włożył i pogląda. Idę do niego wprost, skłoniłem się, pytam, a ten mi zaraz:

— Otóż to nos, kiedy nos — rzecz — trafiłeś waszmość odrazu, jak w dym, na samego Dulebę. Czy kto ci go ukazał?

— Nie.

— To coś osobliwego. Ja Duleba jestem. A że mi dobrze waści mój przyjaciel, jmc. pan Orondat Tarcza, polecił, już tu będziesz, jak w domu. Wiadomy nam ordynans: przy boku jego królewskiej mości i królewicza Jakóba zostawać będziesz; ale, nim ruszyć przyjdzie, to w Wilanowie waszmość tylko osobą swoją zostaniesz, konie i ludzie, jakich masz, odprawiaj na gospodę do Warszawy. Tam im oznaczaj bezpieczną i dobrą, nie bójcie się! Dla waści stancję pokaże ten, którego mu dam; rzeczy waść znieść poleć, ubierz się przystojnie i przychodź do mnie, a ja sam królowi jegomości was przedstawię około południa.

Dictum, factum. Podziękowawszy, idę za dworzaninem, którego mi dano za przewodnika; poznaliśmy się prędko. Prawdę rzec, stancję dostałem na pierwszy raz niewytworną, ale dziury już porządniejszej, dla natłoku, w Wilanowie nie było. Izdebina pod strychem, a i w tej jeszcze fura była rzeczy czyichś, co je ktoś tam odjechał. Ale żołnierzowi, aby gdzie położyć głowę; Grześ przyniósł wody wiadro, omyłem się z pyłu, wziąłem na grzbiet co było najlepszego, i przed południem stawię się do pana Duleby.

Nie powiem, żebym ja tam, wśród tych przepraw królewskiego dworu bardzo wspaniale mógł wyglądać; ale też niepośledniom się prezento-

wał, bo we mnie każdy poznał żołnierza, który o błyskotki i zalecanie się oczom niewiele dbał. Kiedym szedł przez podwórcę, wodzili za mna oczami z ciekawości.

Dulęba mnie od stóp do głowy obejrzał, obszedł dokoła, to i owo poprawił wedle zbroji, bo był znać sam dawniej żołnierzem i koło żelaza chodził.

— Idźże teraz za mna — rzekł. — Bodaj, czy król jegomość nie jest w ogrodzie, ale gdzie go natrafimy, tam się mu waszmość przedstawisz.

Weszliśmy zatem na ogród, jakiegom nie widział nigdy. Woda biła do góry, posagi jakieś dziwne, drzewa osobliwe, altany różne, a kwiecień barwnego zagonami, aż się oczy napatrzeć nie mogły. Ulice szerokie, sypane piaskiem. Żwirrem, a dokoła chyła się drzewa najrozmaitsze. Już chyba w raju nie może być piękniej.

Uszliśmy w milczeniu spory kawał, bom z admiracji języka w gębie zapomniał. Aż patrzę, w ulicy idzie prosto na nas mój wczorajszy pan Tarcza, ubrany tak prawie, jak był, ino mu się twarz śmieje dziwnie. Dulęba też mustruje się wyraźnie, aby nie parsknąć. Rzuciłem się prędzej, by powitać.

Ano, mój wczorajszy pan, com się tak przed nim spowiadał — był to sam król jegomość Jan III.

Dłużej tać nie było można. Załakłem się i jałem przeproszać go, że tak *sine debita reverentia* gębę wczoraj puściłem; ale mnie wstrzymał, śmiejąc się dobrodusznie.

— Nic się złego nie stało — rzekł — nic złego. Lepiej się waszeć zarekomendowałeś, niżeliś sa-

dził. Jużemy teraz jak starzy znajomi; tę tylko radę, którą waści Tarcza dawał, król powtarza.

Wśród rozmowy nadszedł i królewicz. Więc sam ojciec polecił mnie synowi, który, snąc wiedząc o wczorajszym, śmiejąc się, głową pokiwał. Poczem, ucałowawszy rękę króla i ścisnąwszy kolana, jużem szedł nazad i był jako w domu.

Sit nomen Domini benedictum!

Wczorajsze spotkanie, o którem sam król rozpowiadał wszystkim, rozeszło się było po dworze, i ono mi też bardzo wiele ułatwiło. A że król jakoś serce ku mnie łaskawe okazał, śmiały się też wszystkie twarze. Musiałem mało razy dziesięć tego dnia powtarzać każdemu, jak się to stało, a wszyscy mi z tego prorokowali sukcesy wielkie. Szło już dalej, jak z płatką. Rozgłosila się przygoda po mieście i omal mnie na rękę nie noszono, dopytując; a jakom ja sam później tę historję słyshał z drugich ust, już jej poznać nie było można, tak ślicznie wyhaftowana. Bo nikt nie wytrzymał, żeby do tego czego nie dodał.

A już się nie żartem brano ku wojnie, bo od księcia Lotaryńskiego i od Lubomirskiego niemal codzień nagłace przychodziły wieści, które króla niepokoiły. A chociaż, jakim to teraz lepiej widział, różne wpływy przeszkadzały i starały się odciągnąć króla, zachwiać jego postanowieniem, uważałem też, że, choć dawał mówić, co kto chciał, przy swoim stał jak mur.

Jam tam na dworze niewiele miał do czynienia, bo służby żadnej nie było. Czasem króla list do Warszawy zaniosłem, albo z ustnem poleceniem się przejechałem. Grześ spał, aż hoki odlegiwał, bo nie miał też pół dnia co robić.

Przez ten czas dworu-m się uczył i dobrze mu przypatrywał. Poznałem też, że, z małemi wyjątkami, ludzie to byli, acz bardzo pokaźni, ale niewiele warci. Szczerości za grosz u nich nie dostał, a drwinek nie kupił.

Z królewiczem choć się spotykało, dla nas, małych ludzi, przystępny nie był: królowę się tylko zdala widywało. Pani urody snąć była bardzo pięknej, a choć nie pierwszej młodości, jeszcze w niej pańska krew i pochodzenie królewskie łącno poznać było.

Nie powiem, jak złe języki utrzymywały, żeby król miał być zawojuowany, bo w wielkich rzeczach wole swoją miał, ale w małych ulegał dlatego, że ją nadzwyczaj kochał. Nie było w żadnym stanie tak czulego małżonka, jak był ten pan dla królowej Kazimiery, ani tak wylanego ojca.

Już podówczas dobrze podstarzały, niełatwo nawet konia dosiadał, ale, gdy raz na kulbake ze stołka się dostał, to go z niej lada co nie zruszyło. Pobożny był bardzo, szczególnie do Św. Trójcy, w której dzień, co było najszcześniejszego w jego życiu, zawsze mu się przytrafiało.

Do mnie od owego spotkania afekt powziął szczególny, tak, że mnie już do samej osoby swej wyznaczył, odebrawszy królewiczowi. Nie było tego dnia, żeby choć kilku słów nie przemówił, nie uśmiechnął się, nie wejrzał łaskawie. Postrzegłszy zarazem, że nie był bardzo zamożny i że przed wyprawą wiele mi braknąć może, kazał dnia jednego do ogrodu za sobą iść, i tam pocichu, tak, żeby tego nikt nie widział i żeby zazdrosnych nie czynić, własną ręką swą dał mi sto talarów bitych czerwonymi złotem: ażeby mnie zaś nie upaka-

rzać, więc tytułem przyszłego żołdu. Jednakże, jak się później okazało, nigdzie mi tego nie zapisano i nie notowano.

A wielce mi też ten grosz dopomógł, bo dużo brakło około rynsztunku; na czas pokoju było go dosyć, ale przeciw takiej wojnie musiał się człek dobrze opatrzyć. Kupiło się to i owo, a szczególnie mi się trafił koń, któremu później życie był winien, nieoszacowany, cisawy, w siedmiu niespełna lecach, stworzenie, jakiegom drugi raz nigdy nie spotkał, prawdziwy wojskowy, mało nie człowieczego rozumu i serca. Ten mi, mogę powiedzieć, stał się przyjacielem i dobrodziejem; a nie koń był, tylko istne cudo. Gadałem z nim, a rozumiał; puszczałem go za sobą, szedł jak pies; wachał, całował, myśli zgadywał; głód i chłód, fatygę przecierpiał, ani po nim znać było; a w bitwie nie tylko, że się nie uląkł, ale, gdy się rozsierzdził, to leciał i drugie konie nieprzyjacielskie gryzł, jakby wiedział swą i rycerską powinność. Mogę to do osobliwszych dzieł Opatrzności nade mną policzyć, jakom tego cisawego dostał; bo, gdyby go ludzie znali, poszedłby był wysoką ceną, żebym się go nie dokupił.

Pojechałem raz z Wilanowa do Warszawy, aby obejrzeć, co się z wozem dzieje i ze szkapami. Po drodze myślał: jakby się trafił koń pod siodło, nie szkodziłoby. Ledwie na gospodarze mojej przystanął, bieży znajomy mi żydek do mnie, ciągnie za rękaw i woła, że po nieboszczyku Ptaskim, który zabity był w pojedynku, rzeczy i konie sprzedają. Tknęło mnie... idę. Ludzi było dużo, co oglądali. Wyprowadzają cisawego, a trzeba wiedzieć, że chociaż maść cisawą i piękna miał,

zrazu się nie prezentował bardzo butno, co ja dziś temu niechybnie przypisuję, że pocziwe zwierze jeszcze po swoim panu bolało. Koń był bowiem wielkiego serca. Szedł ze spuszczoneym łbem, bez fantazji, ciężko, alem zaraz postrzegł, że pod kulbakę parady. Piersi szerokie, noga sucha, łeb piękny, oko wysadzone, chrapy rozdęte i jakby krwawe, chód pewny, w zadzie szeroki. Wydał mi się wałowity, ale myślę sobie: „Od tego ostroga, a jeździec dobry ognia mu doda i szparkości dobiedzie“.

Co zaś? — Zaprosili zrazu bardzo słono, poczęli się ludzie śmiać, bo nie był wielkiego wzrostu i w siódmym roku; potem spuszcza ją zaraz. Ja w targ i dobiełem do trzysty złotych, a drudzy drwinkowali, żem przepłacił. Dałem od uzdy jeszcze, i derę piękną, pod którą stał, kupilem też. Zawiedli go do mojej stajni. Tam zaraz się sam do niego wziął. Kazałem myć, czyścić, wystrzyc, nakarmilem; a jak to u mnie we zwyczaju, tom chodził, gadał, głaskał, aż w kilka dni koń jakby zmartwychwstał. Spróbowałem pod kulbakę, a na nim, jak w kolebce; ze szklanką wody można było jechać i nie rozlać. W kłusie rzucał, ale póki się nie wyciągnął dobrze; zato noga tak pewna, że się jak żyw nie potknął. Sadził płot, czy rów, na samo cmoknięcie i znak dany, bez forsy żadnej; słowem, cudo, nie koń.

Dopiero, jak mnie na nim raz a drugi zobaczyli, proszą się: „Odstap“. Dawał Żmigrodzki pięćset złotych, postąpił krewny mój daleki, a imiennik Mroczek, do sześciuset; alem się śmiał tylko, bo gdyby mi dał kto półtora tysiąca, nie byłbym patrzył. Taki koń, to życie i zdrowie. Ukochałem też

go, żem niemal z nim jadł i spał, a pilnował, jak dziecka; i nazwałem go Pylades, co tak bestja prędko zrozumiała, że, bywało, gdy zdala zawołałem, zaraz łeb odwraca i rży. Wnet z nas tacy byli przyjaciele, jakbyśmy rośli razem od dzieciństwa.

Nimeśmy jeszcze z Wilanowa na Falenty do Piotrkowa ruszyli z królem, na kilka dni przedtem trafiło się mi, zanocowawszy w Warszawie, powracać rano do rezydencji. Na drodze, jakom iechał, stykam się z chorażym Nałęczem i tym Herodem, Florianem. Nierychło mnie poznali, choć wiedzieli, żem tam był; minałem ich, ledwie obróciwszy głowę, aż mi w sercu zakipiało.

Żem był posłany od króla do pana Denhoffa i miałem się z poselstwa sprawić. wróciwszy, szedłem do ogrodowej altany, gdzie król jegomość siedział, listy pisząc i raporty przyjmując. Gdym tu jeszcze był u boku królewskiego na rozmowie, patrzę, idzie pan Nałecz i Florian z jakąś wojskową sprawą. Jak mnie tu znowu uirzeli i blisko przy panu, dobrze im twarze poprzeciągały się. A tu jeszcze, jak na złość im, a mnie na pocieche, król się śmiał i po ramieniu mnie klepał; poznali zaraz, żem był w faworze.

W parę godzin, kiedym sobie już odpoczywał, patrzę, wchodzi Pakulski do mnie. Siada i poczyną prawie różne historie, ale, nieboraczysko, że chciał zachodzić zogródka, a nie był *peritus*, poplatał się szpetnie. Naostatek mówi mi, jak to piękną rzeczą zgoda jest, że ja sami bogowie pomiędzy sobą na Olimpie umieścili, i to, i owo, ażebym ja rękę Nałęczom podał, a tylko się zrzekł wszelkiej pretensji do ich siostry, to mi już beda

druhami do śmierci i obiecują gdzie indziej bogato swatać i żenić.

Dopieroż ja w śmiech, ale musiałem się gorzko jakoś rozśmiać, bo Pakulski aż się ze stolka porwał.

— Mój panie Adamie — rzekę — stare to przysłowie: palca między drzwi nie kłaść. Anim się ja z panami Nałęczami chciał kłócić, ani łaski ich i dziewosłębów dziś potrzebuję. Pan Bóg mnie zaswatał sam, to mnie i ożeni; żebym zaś miał frymarczyć przyjaźnią starościanki, rzecz to jest ohydna, iż, gdybym nie wiedział, żeś mi ją przyniósł tu przez głupotę raczej niż złą wolę, to bym waszmości uszy poobcinał, iżeś się ważył takiego podjąć pośrednictwa.

Pakulski tedy do szabli. Pohamowałem go.

— Nie czas się rabać — rzekłem. — Pójdźmy obaj na Turka, a jeśli całe kości przyniesiemy, słuzę waści, jak sam zechcesz i jak się spodoba.

Poszli więc jak zmocy, dobrze markotni, a jam przy swoim został.

Zaraześmy tedy z królem i dworem poczęli ciągnąć ku Krakowu, jako się napisało wyżej: pierwszego dnia do Falent, pana wojewody pomorskiego, gdzie król odpoczywał: trzeciego dnia do Nadarzyna, a tu obiad jadł, i przybiegli posłańce, donoszący, że cesarskie wojska, z powodu bliskości wielkiego wezyra, cofają się na wyspę Szyt. Dalej ciągnęliśmy na Rądziejowice, bardzo piękną rezydencję kardynała, do opactwa witoskiego pod Piotrkowem Trybunalskim, aż do Krotoszyna.

Tu też było się czemu podziwić: bo pałac hr. Denhoffa, ogród, wody w nim, jako rzadko gdzie

u nas widzieć; drzewa, wały sypane dokoła, nawet ogrodenie pańskie i dla oka obrachowane.

Stąd już zajechaliśmy do Częstochowy, gdzie król jegomość w klasztorze u ojców Paulinów stanął i mieszkał, dla zażycia nabożeństwa u cudownego obrazu Matki Miłosierdzia, a myśmy się po miasteczku, jak kto mógł, rozgościli. Nie piszę już, jakie były ceremonje i jaka pobożność przed tak wielką imprezą, jakie wota składano i jak król jegomość z całym dworem do komunji i spowiedzi przystępował, sposobiąc się, aby czystem sercem w czystej sprawie stawać.

Tu nadbiegł Gliński od hetmana Lubomirskiego z listy od Wiednia, że się już oblężenie stolicy rakuskiej na dobre rozpoczęło i osadzili ją poganie dokoła. Król, Glińskiego do siebie zawoławszy, sam go rozpytywał i badał, a potem listy rozpisywał na wszystkie strony do książąt i panów, oznajmując, że ciągnie na odsiecz niezwłocznie, aby też drudzy obowiązku swojego chrześcijańskiego dopełniać się starali.

Żem nieźle pisał, byłem i ja pod ten czas do niektórych skryptów w kancelarji użyty, przed czem mi słowo szlacheckie dać kazano, że nic nie wyjawię z tego, co mi do uszu dojdzie. Ale to tam próżna była ceremonia, bo się to u nas nigdy nie praktykowało, żeby się jaki sekret uchował, dla tej otwartości charakteru naszego, która i siedmiu pieczęciami zamknięte usta otwiera.

Przyjawszy błogosławieństwo przed obrazem Najświętszej Panny i solenne złożywszy wota, pośpieszniej już, dla odebranych wiadomości, ciągnął dwór prosto na Kraków, a wojska dwiema

drogami nas poprzedzały ku tarnowskim góróm na Śląsku, w dwunastu milach od Krakowa.

Nie mogę wypowiedzieć, jaka nas tu w stolicy spotkała ludu, szlachty, duchowieństwa frekwencja; jaka widzenia króla jegomości chrześcijańskiego ciekawość; jaka miłość powszechna, wydająca się wszędzie; jakie procesje, nabożeństwa, bicie w dzwony, oracje, dary i jaki wszędzie nacisk zdążających za wojskami. Żem się już dworu trzymał, stałem w Łobzowie z innymi, skąd tylko do miasta za królem wyjeżdżaliśmy, głównie dla modlitwy po różnych kościołach. Byłem też, gdy król jegomość odwiedzał staruszka księdza Dąbrowskiego, w collegium niegdy nauczyciela swego, od którego brał błogosławieństwo. Rozpowiadano, czegom ja świadkiem nie byłem, że król się świątobliwego starca dopytywał, jak też owa wielka wyprawa poszczęścić mu się miała, i że ojciec Dąbrowski miał mu odpowiedzieć, przyobiecując zwycięstwo, lecz zarazem śmierć sobie prędko prorokując, że tej pociechy dożyć nie miał, co się później jót w jotę sprawdziło.

Król też d. 6 *augusti* jechał stąd na musztrę ciągnącej armji hetmana polnego, opatrując lud dobrze i pięknie wybrany, którego było więcej dwóch tysięcy. Sam główny korpus wojsk pod hetmanem wielkim przyszedł w kilka dni później i położył się obozem pół milki od Łobzowa. Jam tedy, otrzymawszy pozwolenie, do swoich pośpieszył, aby i poczet zobaczyć, co się tam z nim działo, i przyjaciół powitać.

Dopieroż to była radość, gdy mnie ujrzeli! Dopiero, krzyki, wołania, witania, bo byli zasłyszeli o moich sukcesach, a zazdrościli mi wszyscy po-

trosze — czemu się nie dziwuję — zbliżenia do osoby króla jegomości. Ale i kwasu miał trochę, bo mi Bułski mój konia jednego spleczył, drugiego schodził i zatarł szkaradnie, żem go z błotem zmieszać musiał. Szkoda też przez jego niedbalstwo okazała się i w wozach, jak to zawsze bywa, gdzie cudze oko patrzy, a pańskie daleko. Ale, to wszystko przy pomocy bożej połatawszy, a z przyjaciółmi zażywszy chwil wesołych, o fraunku zapomniał. Drudzy go też w ciągnięciu, jeśli nie więcej, mieli.

A to muszę dodać, że nie wiem, czego mi towarzysze więcej zajrzeli, czy królewskich łask, czy mojego Pyladesa, kiedym go im okazywać zaczął, bom umyślnie na nim do chorągwi jechał. Był aplauz dla cisawego powszechny, gdyż jużem go był sobie sprzyjał zupełnie, i stał mi za psa, takie sztuki umiał.

Dnia piętego *augusti* przybyli do króla posłowie, panowie znaczniejsi ślascy, z tem, że wszystko było w pogotowiu w ich kraju dla wojsk naszych i wozy pod piechotę spędzone. Dziewiątego poszły ordynanse, aby wojsko ruszało i poczęło zewsząd ciągnąć ku Śląskowi. Regiment kanclerza wielkiego szedł z Żywca i inne za nim.

Dziesiątego wielkie nabożeństwo i błogosławieństwo na zamku w kościele odbywało się, któremu i ja z całym dworem byłem przytomny.

Po mszy świętej uroczystej u grobu Świętego Męczennika, nuncjusz papieski, Pallavicini, króla jegomości i wszystkich przytomnych benedyktował i ogłaszał wielkie przez Ojca Świętego nadesłane odpusty nadzwyczajne dla rycerzy chrze-

ścijańskich, z których radości wielkiej i męstwa nam przybyło.

Opisywać już nie będę, jakieśmy ostatnie dni do 15 *augusti*, to jest do Wniebowzięcia, przebyli, ciągle prawie będąc pobożni; jak nas tu żegnano, błogosławiono, otaczano. To tylko powiem, iż mimo wieści, które przychodziły o potędze tureckiej, mimo słusznej aprehensji, jaki mógł być skutek wyprawy, od wodza do ostatniego żołnierza, wszyscyśmy naówczas mieli to przekonanie pewne, iż zwyciężyć musimy. Skąd się brało owo bezpieczeństwo, nikt się nie tłumaczył, ale to pewna, że we wszystkich sercach mieszkało. One krocie pogan, o których mówiono, że niemi całe pola były okryte — nic się nam nie zdawały groźne.

W Będzinie, ruszywszy z Krakowa w dzień Wniebowzięcia, zastaliśmy oczekującego grafa Caffę, od cesarza Leopolda wysłanego, który z bardzo kwaśną miną przybył, nie wierząc pewno, aby miał król wczas z odsieczą podążyć. Rozpowiadano tu, iż zastawszy markiza Darkena, który króla wyprzedził, obiadując z nim, gdy mu ten ręczył, iż Najjaś. Pan przybywa, odparł nieufnie, podając to w wątpliwość:

— Tak to mówią.

Aliści rozjaśniła się twarz Włochowi, gdyśmy nadażyli, a miał to szczęście, że z królem obiadował, szeroko rozpowiadając o nieszczęśliwym położeniu stolicy i radząc, jakby najlepiej Turków od niej odegnąć. Nie byłem ja tam w czasie ich rozmów, ale potem sobie je powtarzano, iż zaklinał i modlił, aby król jegomość pośpieszał, jeśli na sromotne gruzy patrzeć nie chce. Cesarz też, uchodząc z Wiednia, a nie mogąc z sobą zabrać skar-

bów niezmiernych, jakie tam były nagromadzone, frasował się więcej obawą ich straty, niż upadkiem stolicy.

Tu już, gdy i królowa jejmość rozstała się z nami w Tarnowskich Górach, pośpieszaliśmy, a był wielki czas...

Trudno wyrazić, jak nas wszędzie przyjmowano, jaką znaleźliśmy gotowość, jakie żywności wszelkiej zapasy, jaką uprzejmość Ślązaków i zabiegi, aby nam na niczem nie zbywało. Wozy pod piechotę, owsy, chleby, słowem dostatek wszelki.

Odprosilili się tylko Ślązacy od Litwinów, że im tam niestworzonych rzeczy nagadano na uciążliwy ich obyczaj w ciagnieniu. Jakoż, przez Węgry idąc i kraj za nieprzyjacielski uważając, niemało w istocie dokazywali. Składano to znowu na onego nieszczęsnego Tyszkiewicza, który część regimentów zbieranej drużyny prowadził i za głównym obozem podążał, na tego samego, którego strzelanie do Francuzów tyle narobiło hałasu, a co pono nie z jego naprawy wyszło, bo go pod on czas w Warszawie nie było. Tu już królowej nie znalazł, ażeby go obroniła.

Wracam do tego, jakeśmy szli dalej z pośpiechem wielkim.

Dnia 22 *augusti* król, odprawiwszy przodem piechoty, pono dlatego, że się tam nie było z czem popisywać, bo nieświetno wyglądała, jechał razem z komisarzami cesarskimi na wojska ukazanie, które było prawdziwie wspaniałe. Puszczono wprzód ten głos, aby każdy wystąpił, jak tylko mógł najlepiej, żeby przed obcymi się nie wstydzić, i wypadło też, żeśmy się i sami sobie i oni

nam dziwowali, z takim bogactwem i świetnością szły chorągwie.

Wogóle zważaliśmy, że na panach komisarzach wojsko, jak się potem odzywali, zrobiło wrażenie wielkie tym przepychem, z jakim się prezentowało.

A tuśmy się też zaraz od Gliwic ze dworem całym oddzielili od armii naszej, zostawując ją za sobą; wziął tylko król dwadzieścia kilka chorągwi lekkich i kilkaset dragonji z sobą, a dwudziestu husarzów, którzy bez kopij na straży przy nim jechali. Jakiśmy w Śląsk weszli tylko, nieustannie nas spotykano ze wszelkiego rodzaju honorami, darami, mowami, biciem we dzwony, oracjami i tryumfy.

Radość z naszego przybycia wszędy widać było wielką, a dostatek mieliśmy wszystkiego i na kuchnię, i dla koni, że nie można było niczego zażądać, czegoby już wprzód nie nagotowano.

Jam, będąc u dworu królewskiego, opływał; i tylko mnie to trapiło — że tego, jak dla żołnierza, było zanadto — żeby człowiek nie zmiękł. Prawda, że po noclegach, najadłszy się dosytnie, napiwszy często nad miarę nieco przy wesolem towarzystwie, potem musiał człek legnąć, kulbakę tylko mając pod głowę i namiot, który Pan Bóg rozpiął; ale to się już i nie liczyło.

Gdy husarzy na straż dla króla wybierano, markotno mi się zrobiło, żem między nimi chorążego Nałęczą najrzał, ałem go niby nie widząc i nie poznając, dysymulował. Starał się pono o ten fawor bardzo, i nielekko mu przyszedł, bo byli Porkowskiego wyznaczyli (z Racheic); ale ten zachorzał i miejsca mu ustąpił. Nie na wiele się to Nałęczowi zdało, bo król uprzedzony był i, choć

z innymi konwersował, na niego i nie patrzył. Posażdził mnie o to choraży, alem nie był nic winien. bo nieprzyjacielowi nogi nie mam zwyczaju podstawić, ale stać oko w oko, jeśli stać przeciw przychodzi.

Szliśmy już coraz pośpieszniej, zdążając na Opawę, miasto wcale piękne i obrotne, gdzieśmy jako tako spoczęli. Król w stodole na przedmieściu dobrowolnie się lokował. Minawszy Raciborz, gdzie nas pańsko podejmowano, ciągnęliśmy pod morawskie góry do Olomuńca, a góry dosyć przykro przebywać przyszło. Ale mimo tych dróg, niezwykajemu człowiekowi i koniowi przyćmiewających, nacieszyć się nie mogliśmy pięknnością kraju dla oka, które, jakby w obrazie malowany, wyglądał.

W Opawie, jak tu po drodze wszędzie, króla oprymowali temi powitaniem, i słyszeli, jak mówił, narzekając na te oracje ustawiczne. dla których się, jako pan młody do ślubu, ubierać musiał i wszędzie z paradą husarską wjeżdżać. Miasto chędogie, lud grzeczny, a co błogosławieństw było i okrzyków, wyliczyć trudno. OO. Jezuici szczególnie panegirykami kościelnymi przyjmowali, a co krok — *erat missus Joannes*.

Nigdy też jeszcze tak osobliwego zegara nie widział, jako tutaj: bo, gdy miał godzinę wybić, występowała z niego cała procesja misternych lalczek i obchodziła go dookoła, z wielkim kunsztem kłaniając się, ruszając, głowy chyląc, gdyby żywe Pigmejczyki, czemum się mógł napatrzeć, bo królowi dali kwatere w kamienicy naprzeciw zegara, bodaj nie naumyślnie, aby mu się dziwował.

W tym pochodzie, ile nam razy serca przyhywało i ubywało, nie zapamiętam: to jeno wiem, że

ciągle gońce, posły, listy dobiegały do króla, zwiastując różne wojsk pogańskich i Tekelego, z nimi za jedno trzymającego, ruchy. Ginęli, to wychodzili z ziemi Tatarowie a Turcy, i groźnie, to się tchórzliwie okazywali; wszelako im bliżej ku Wiedniowi podchodziliśmy, tem się bardziej na baczności mieć było potrzeba, aby nas nie zaskoczono kędy w zasadzce.

Ale kraj czyście piękny, jako raj; a że ciągnąć przyszło w porę jesienną, kiedy wszystko dojrzewa i rośnie naumór, więc nic wdzięczniejszego wymyślić niepodobna nad to, na cośmy patrzali.

A znać, że i lud około bożych darów chodzić umie, bo dostatnio wszędzie i chędogo; muru więcej, niż drzewa, chocia z drzewa i muru bardzo miśternie budować umieją razem, czego u nas rzadko widzieć, i koło każdego domostwa owoców, winnej macicy, brzoskwiń, pachnącego ziela różnego w bród.

Na polach zboże w kopach stało, jak usłat; urodzaj nadzwyczajny, kop — jak gwiazd. W Brnie morawskiem stanęliśmy w święto i na odpust Św. Jana Chrzciciela, gdzieśmy nabożeństwa zażyli, o ile fatyga i czas dopuścił.

Sam książę lotaryński królowi *obviam* miał czynić, i spodziewano go się co chwila u nas, aby króla i wojsko zagnąć do pośpiechu, bo już Turcy strasznie szturmowali, a dowódca stolicy rakuńskiej, Staremborg, prawie desperował. Podkopywali się pod niego i minami szli, grożąc murem. Zewsząd też kto tylko mógł z rzeszy, ciągnął pod Wiedeń.

Dnia 31 *augusti*, gdyśmy byli obozem, a właśnie namioty rozbijać dopiero poczynano, w mo-

mencie, kiedy się z nami łączył hetman polny, który był inną drogą pod górąmi ciągnął, dano znać, że ksiązę lotaryński przybywa.

Spotkali się król z księżciem w polu, właśnie przed szeregami, jakby do boju wyciągnionemi. Prezentował się tego dnia monarcha nasz tak wspaniale i z takim majestatem, jakby się na tronie urodził. Zsiadł ksiązę z konia o dwadzieścia kilka kroków, król, też mało poczekawszy, także, i powitali się bardzo uprzejmie, razem potem idąc do obozu, który dopiero się rozścielał. Z wielkiego rozgłosu około imienia tego księcia, nie mogłem się spodziewać, żeby tak mizernie wyglądał. Człeczek był niewielki, potrosze brzuchaty, twarz melancholiczna, ospowaty szpetnie, a koło niego tak, żebyś go wziął chyba za pisarka obozowego, gdybyś go spotkał na uboczu. Suknia prosta, odarta, kapelusz zmięty i bez pióropuszu, buty zabłocone. Był przy nim Talf, który w Polsce posłował odeń, i tu go niemało ludzi znało.

I koniowi, i panu napatrzeć się nasza dwornia nie mogła, bo, choć szkapę miał niezgorszą pod sobą, ale siodlisko wybite, wysiedziane, uzda prosta i prezentacji żadnej. Wszelako król go przyjął bardzo *honeste*, a choć dopiero się nasi zabierali coś prażyć, w mgnieniu oka i ogień był naniecony, i jedzenie gotowe, i wino dobyte. Nie mieliśmy się co wstydzić popasu, bo sobie dobrze panowie podjedli, a bodaj i podpiłi. Stałem-ci tam, patrząc na wszystko, i widziałem, że ks. lotaryńskiego hamował od kieliszka ten jego Talf, a przecie, gdy król dolewać kazał, dobrze sobie podchmielił wkońcu, i była taka wesołość z racji naszego zbliżenia się, taka otucha, tak się im na wi-

dok wojsk oczy śmiały i serca przybywało, aż i nam go urosło. Tylko słysząc było z pod namiotu wiwaty i wykrzykiwania na cześć króla naszego, dla którego imion dosyć znaleźć nie mogli. Salwatorem go mieniąc i Mesjaszem, posłanym od Boga na zbawienie chrześcijaństwa.

Rozjechali się nareszcie, w bardzo wielkich oświadczeniach przyjaźni dla króla i królewicza, bo pierwszego ojcem swym, a drugiego bratem co chwila (po winie) ksiązę lotaryński nazywał, i to po polsku; ale mu i tego ojca i brata co chwila podpowiadać musiano.

Kto dawniej znał przed laty kilku naszego pana, że był nieco zwolniał a ociężał, teraz go poznać nie mógł, tak wymłodniał, ochoty, rzeźwości i humoru nabrał; i nie dziwić się obcym, że im majestat jego oczy ślepił, gdy nawet my, do blasku tego przywykli, coraześmy jakby nowego człowieka w nim dopatrywali. Rosnął nam codzien. Ten szybki pochód, i trud, i niepokoje nietylko go nie zmęczyły, ale zdawały się go orzeźwiać i coraz nowe mu myśli poddawać. O każdej najmniejszej rzeczy pamiętał, nie dojadł, nie dospał, ludzi zamęczał, a sam jeno się krzepił.

Gdybym na to nie patrzył, nigdybym temu nie uwierzył, ażeby człowieka duch wielki mógł tak z gruntu przeistoczyć i takiej siły mu dodać. Samo wejście na twarz królewską już zwiastowało jakby rozbudzenie wielkie, jakby natchnienie boże, osobliwe.

Wszyscy tu, swoi i obcy, powiadali zgodnemi głosy, że go nigdy jeszcze takim nie widzieli; od rana do nocy zajęty, czynny i zapominający o sobie, zawsze gotów, bez uprzykrzenia, wesół

a dziwnie majestatycznego oblicza, jakby w nim Duch Święty mieszkał, przezeń mówił i kierował nim. Coś wielkiego i potężnego wydawało się w każdym jego słowie i ruchu, a co dziwniejsza, że, jakem się nieraz o tem przekonał, miewał przeczucia, proroczo widział, co się stać miało.

Z samych kart i opowiadania, dobrze wprzód, nim pod Wiedeń przybył, nim opatrzył pozycję, mówił już zgóry, gdzie obozem stanie i skąd nieprzyjaciela atakować będzie, ciągle o Kalenbergu powtarzając, aż się ludzie dziwowali. Chodził, mówił, rozkazywał, jakby w świętej jakiejś gorączce nie zastanawiając się i nie potrzebując namyślać się, ani poprawiać.

My, cośmy osoby królewskiej bliżej byli, tylkośmy podziwiali go, a wkońcu uwierzyć musieli, że tam boża prawica nad nim spoczęła. Jako był wyszedł z kościoła po onem błogosławieństwie w Krakowie, a potem z celi ks. Dąbrowskiego, tak już na chwilę teraz nie zwątpił, nie zawahał się. Nie można wypowiedzieć, jak ta jego pewność wszystkim serca ogromnego dodawała, i nawet z ludzi poślednich czyniła rycerzy.

Niemало się też i ten pochód, przed tryumfem już tryumfalny, przez Śląsk i Morawę, przyczyniał do utrzymania króla na duchu, bo go zbawcą chrześcijaństwa całe ludy proroczo witały, jakby objawienie tego posłannictwa bożego wszystek świat przedtem miał.

Przychodziły mu też to te, to owe myśli pośród ciągnienia, jak ze snu przebudzonemu i jakby z rozkazu z góry. Jednego poranku wstaje w namiocie, gdzie i ja blisko był. Słyszę, wołanie się rozlega:

— Sam tu!... A jest tam który?

Więc na łeb leczę; król się odziewa.

— Słuchaj, Mroczek — rzecze — tyś człek rzetelny, ty grosza chrześcijańskiego nie zmarnujesz, ani z niego nie zechcesz korzystać — tobie to polecę. Widziałeś ty? Toć to w wojsku kopij i dzid połowa ludzi nie ma, a zapaśnych wcale. Bez tego w boju z nimi nie stąpić. Naści pieniądze, wyrachujesz mi się. Idź przodem, czy bokiem, czy jak ci się tam zda, a przysposóbcie mi kopij i dzid, żeby był zapas dla wojska. Niechaj to ode mnie, panna swego, mają, bo sami tu, między obcymi, nie postarają się o to. Tyś człek młody i obrotny, na ciebie to zdaję, a sprawże mi się jak się patrzy, po kawalersku. Ilu Turków te dzidy zgniotą i zmiotą, tyle waść kresek dobrych u Pana Boga, a i u mnie. sługi Jego, mieć będziesz.

Włożył tedy to na mnie, i latałem jak oparzony około roboty, Bóg widzi, że niełatwej; a potem, co mnie gdzie zobaczył, to mi się spowiadać kazał, ile już gotowego, i co, i jak. Ale mi te kopje u króla niemały fawor wyjednały, bo mi poszło, z poinocą swoich, całę dobrze i na chwałę.

Jak się w wojsku dowiedzieli tylko, że król własnym kosztem drzewce sztytuje i rozdawać ma tym, co ich nie mają, filuty z husarzów a nawet i pancernych do mnie: — „Kupuj u nas dzidy, wszak ci to wszystko jedno“. — Ale m zmiaarkował, o co to szło, i że byłoby z obrazą sumienia to kupować, co już było, a nie przyspasabiać więcej, jak król chciał. Więcem odrzucił, choć się na mnie za to gniewali; królowi-m przecie słowa o tem nie szeptał.

Nie wiem, skąd i kto mu powiedział o tem.

Trzeciego dnia woła mnie do siebie i daje trzosik z talarami.

— Weźmij to ode mnie, — rzecze. — Kocham waść: to za one kopje, coś ich u tych trutniów kupować nie chciał. Masz sumienie. A dużo ich tam już na wozach?

Wszystko mi to coraz więcej u niego laski jednało.

Jużeśmy byli pod Tulm przyszli, gdzie most na przeprawę budowano, aż nas dopędził posłaniec królowej i listy z kraju; a była ich do całego wojska taka moc i zależałych, i starych, i nowych. że się każdy prawie miał czem pokrzepić; torbami je noszono i rozdawano po chorągwiach.

Jam też odebrał pisanie od pana Jacka: nic tak bardzo szczególnego, tylko mnie tknęło, że w obfitych wyrazach wspominał, abym tam ladajakim wieściom nie dawał wiary, że wszystko u nas po staremu, a nie gorzej.

Po obozie z temi listami było wszędzie czego się nasłuchać. Temu ten umarł, owemu się narodził; ten płakał, ów się śmiał. inny dzielił się, czem Bóg dał.

Wieczorem poszedłem do swoich Podlasiaków pod namiotek. alem trafił nieszczęśliwie. Patrząc siedzi za beczką, która za stół służyła, Nałęcz. Jak mnie ujrzał wchodzącego, tylko się poprawił na pieńku. Cofać się też przed nim nie wypadało. Zwali mnie tam, z powodu tych kopij królewskich, panem kopiynikiem; więc nuż wołać:

— Czołem panu kopiynikowi! Czołem! Czołem!... Wypijesz wina?

— Aby niezbyt — rzekłem.

Siadłem pomiędzy nich. Jak pszczoły w ulu,

gwarzyli, każdy o swoim. Przypominał się każdemu dom, rodzina, przyjaciele, krewni — a tu bóg i śmierć były za rzeką tylko, a w sercach przeczucia różne, więc i w mowie pełno żalości. Słowem gwaru, śmiechu, westchnień, i przekleństw tyle, a tak się żywo przypominała każdemu swoga ziemia, żeśmy, można powiedzieć, zapomnieli. gdzieśmy stali i z czem szli, że lada dzień przyjdzie gardła nastawić, a może kości na obcej ziemi położyć.

To ten, to ów gadał, a wszyscy słuchali pilno. Aż Nałęcz poczyną w głos:

— Mnie też Pan Bóg pociechę zesłał. Z domu mi piszą wszystko dobre; szczególnież zaś rad jestem temu, że siostrę dajemy w taki dom, który naszemu imieniu skazy nie przyniesie.

A tu mu drugi przerywa:

— Panna Helena idzie zamaż?

— Tak jest — prawi — przed adwentem ślub jej na pewno z panem Stadnickim ze Zmigroda, z onych dobrych Stadnickich, co się liczą do pierwszych w kraju familij. Czego chcieć więcej? Dobra, piękna — kawaler młody, przystojny: parantele jak najlepsze. Bogu tylko podziękować, żeśmy przecie jej uporu nadłamali, bo się była dała zdurzyć starej kwoce, podczaszynie, która jej szaraczka tam jakiegoś stręczyła i forytowała. Ale to jak przyszło z niczego, tak i z niczem poszło...

Posłyszawszy „szaraczka“, myślałem, że nie wytrzymam. Dobrowolski, który siedział przy mnie, pohamował zrazu. Ten widząc, że milczę, prawi dalej:

— A jużby też na biedę poszło Nałęczom, żeby

ich dziewki za bezdomnych chudopachołków się prosiły.

Wstałem i krzyknę:

— Łiesz, mości choraży!

Ten się zerwał do szabli, a tu trzymają za ręce, bo pod bokiem królewskim i czasu wojny burdę poczynać — sprawa gardłowa.

— Łiesz! — dodałem — i bezczęścisz szlachcica takiego dobrego, jak i ty, bo co Jastrzębiec, to i Nałęcz, albo starszy i lepszy. Anim to ja, do którego waść pijesz, bezdomny, ani taki chudzina. Jeszcze raz ci mówię w żywe oczy: łiesz! Zechcesz się rozprawić, tom ci gotów, jeno po wojnie, pieszo czy jezdno i na jaką ci się broń podobą.

I wyszedłem, trzęsąc się, z namiotu. Tknęło mnie to, co o Stadnickim powiedział, alem przecie krzty nie wierzył. A że król wysyłał z listami do tarnowskich gór, skąd już nasza poczta szła przez rozstawionych trabantów, napisałem o tem, co mi się przygodziło i do podczaszyny, i do pana Jacka, i do starościanki.

Potem-em się dowiedział, że, gdy z namiotu wyszedłem, co było w nim Jastrzębców, a tych wszędzie pełno, gdzie jeno jest szlachta polska, wsiedli wszyscy na Nałęcza, że ich coś około dziesięciu na rękę go wyzwalo; i Nowowiejski mu się zaklął, że go Jastrzębce bić będą, dopóki jak wróbla nie zatłuką. Wpadł tedy przez swe głupstwo w taką kaszę, z której już nie wiedział, jak wybrnąć, bo nie mnie jednego, ale cały ród na siebie obraził.

Nazajutrz rano król dodnia wstawszy, bo się tym mostem niepokoił srodze, że go zawczasu nie

postawiono, wiedząc o przyjściu, najrzał mnie za płotkiem namiotu.

— A chodź ino tu wasze — rzecze. — Co tam za burdy wyprawiacie — he?

— Ja, Najj. Panie? — odpowiem — Żadnej w świecie.

— A coście się to znowu z tym głupcem, Nałęczem, powadzili?

Rozpowiedziałem tedy co do słowa, jak było, a król tylko słuchał.

— N. Panie — kończyłem — na honor krwi naszej następować gdybym dał komukolwiekbaż, a cóżbym ja wart był? Przeciem tego nie poczytał. Chodzę około Nałęcza, jak około czego złego, omijając, nie zaczepiam go: ale dla świętego pokoju, choćby mi nie wiedzieć jak był miły, pospnować się dać nie mogę.

Król na to:

— Ino bez burd! Jak czas będzie po temu, to się sobie w szable złożycie; ale myślę, że mu się tego, poczekawszy, odechce, bo ja mu uszu natrę.

— N. Panie — odezwałem się — jeśli mam cokolwiek łaski u waszej królewskiej mości, proszę i błagam, nie czynicie nic, aby nie pomyślał, że ja się tu użalał...

— A no, niech i tak będzie — rzekł król. — Tylko pamiętaj, bez burd! Cudzoziemcy na nas zewsząd patrzą: niech się to męstwo i sierdzistość nasza na pogany schowa. Tego sam Bóg, co nas tu zesłał, wymaga...

Nie wiem, jak tam już ten pan nasz na to czas znalazł, żeby jeszcze o tem pamiętać, bo nieustannie byliśmy zasypani odwiedzinami, radami i listami.

Wszystko się do nas i do króla jegomości kupiło, ścigało, przyjeżdżało, a nie można rzec, tylko, że mu honory wielkie oddawali. Tu u tego mostu pod Tulfmem, skąd już jeno mil kilka do Wiednia, stać przyszło póty, póki, jako Dunaj dwiema wyspami jest przerznięty, trzech mostów dla wszystkiego wojska przeprawy nie wystawiono. A było z tem kłopotu dosyć; pięćset dragonów i półtora tysiąca piechoty do tego budowania prędkiego przeznaczono, i nie było ich za wiele.

Król sam chodził, przynaglał, rady się też wojenne raz wraz zbierały; a wszyscyśmy się wydziwić nie mogli zaślepieniu Turków i wielkiego wezyra, któryby był mógł pochód nasz, jeśli nie wstrzymać, to opóźnić i zrobić jakąś dywersję, mając siły tak ogromne. Przecie żywej duszy nie posłał przeciw, znaku życia nie dając. Istotna w tej ślepotcie jego okazywała się Opatrzność nad nami, bośmy prawie aż pod sam Wiedeń nieprzyjaciela ani najrzeli.

Mówiono, że, gdy im tam Tekeli o naszym ciągnięciu dał wiedzieć, nic a nic mu wierzyć nie chcieli, śmiejąc się i mając to za urojenie.

Tu do mostu przybył na zamek grafa Ardeka do króla jegomości książę elektor saski, krom innych. Bardzośmy też i tego pana byli ciekawi, ale nie wystąpił wielce. Dosyć miernego wzrostu, otyły nieco, włosów niemal rudych, krótko pozakręcanych, z brodą ze staroświecka, lat około czterdziestu. Suknię miał i szarję czerwoną z frendzlą. Wyglądał nam na bardzo prostego człeka i roztargnionego umysłu. Książę lotaryński, generał Caprara i inni należeli do rady wojennej.

Szóstego *septembris* poczęliśmy się przez Du-

naj przeprowiać; naprzód pan hetman wielki, potem reszta. Tegoż dnia i dwór i my obozowaliśmy, popasawszy na jednej z wysp, na drugim brzegu Dunaju; ale tuśmy czekali przez 7 i 8 *septembris*, ażby się wojsko całe przeprowiło, za którem zaraz elektor bawarski ze swymi nadażał.

Za Dunajem poczęły się góry przykre, a drogi nieznajome, gdzieby nas do nogi wybito, rozwleczonych, porozsypywanych, gdyby krztę rozumu byli mieli Turkowie, a nie ufali tyle w swego pro-roka. Ale prawdzi się też przysłowie stare, że „ko-go Bóg zgubić chce — zaślepia”.

Wojska ciągnęły wawozami niemal aż pod sam Wiedeń, nie spotykając nigdzie niewiernych; parę razy najrzeli ciurów ich pasących spokojnie woły, ale tałałajstwo to, nie dobywszy nawet szabli, uciekało precz. Dziwniejsza rzecz, że, gdy szły piechoty nasze, które Denhoff prowadził, wpadli w jednym jarze na garść Tatarów, w ciemnej dolinie, zewsząd opasanej górami. Myśleli, że się bić będą i stało się poruszenie między ludźmi; ale starszy, co ich prowadził, podjechał do Denhoffa, nie dobywając z pochew oręża, ani się biorąc do łuku, i pyta go łamanym językiem, jacy to ludzie, których prowadzi? Ten mu wręcz odpowiada, że należą do wojska, któremu sam król jegomość dowodzi. A Tatar w śmiech, machnawszy ręką, i woła:

— Myślicie, że nie wiemy, iż was garść tam przyciągnęła z Lubomirskim w pomoc Niemcom, — i tyle wszystkiego.

Zabrał się tedy, nie poczynając ani myśląc bić się, do odwrotu powoli; nasi też go nie napastowali, poczęści ze zdumienia samego, a potrosze

dlatego, że się rozwinąć nie mogli i nie byli przysposobieni, choć, na dobry ład, nogaby jedna stamtąd wyjść nie była powinna.

Jakieśmy stąd dalej ciągnęli, opisać to trudno. Łaska boża nas prowadziła, bo o przewodników było ciężko; wozy musieliśmy porzucić, aby innemi drogami powoli za nami zdążały; a darliśmy się na wysokości, lasami okryte, przez wawozy, góry, przepaści, tak, że często i koło człowieka i koło konia było bardzo kręto. A co odzieży i twarzy poszarpanych, co szkap poderwanych i okaleczonych, jaka bieda i głód nawet nas tu potkał — nie wyrażę.

Nie mieliśmy już ani namiotów, ani żywności, ani nawet wody; król sam w te dni chlebem suchym się karmił, wody pożyczając od bawarskich żołnierzy, co ja w blaszankach z sobą wszyscy tam nosić zwykli. Jest to zwyczaj dobry, któryby naśladować potrzeba. Ale, jak bohatersko to wszystko czynił, z jaką wesołością i uciechą, nie wypowiem. Drudzy z ludzi stękali, on się uśmiechał, prawiąc, że przed wielką uroczystością zawsze kościół post nakazuje, aby do niej dusze przygotować, ciało ujmując.

Czasami dwór tak od wojsk odstawał, które, rozbite, po górach się kryły, że nie wiedzieć nawet, w której stronie było ich szukać; aliści gdzie z za pagórka ukażą się kopje husarzy, to już wiemy, że przed nami są. Tam to ja dopiero Pyladesa poznałem, co był za koń, że się chyba w górach rodził i znał dobrze z niemi; bo nie było ścieżki najwęższej, przez którąby się nie przedarł, z taką poczynając sobie ostrożnością, jakby rozum miał

ludzki. Jam tylko admirował, a drudzy, którym szkapy padały i kolana sobie otlukały, nie mogli się koniowi wydziwić. Jużem, cugle mu na karku położywszy, samego puszczał, bo pewnie lepiej ode mnie sobą kierował; a zdawał się w tem rozkoszować, że sobie wolno sam tej drogi zażywał, i jakby swawolił, to liści pyskiem szarpnął, to się o gałąź otarł, a w przykrzejszych miejscach nogi stawiał z taką rozwągą i namysłem, iż satysfakcja była na niego patrzeć. Co tam drudzy ze swemi końmi mieli, nie wypowiedzieć; niektórym pospadały z gór i karki pokręciły wniwecz. Na jednym miejscu wśród gęstwiny, kiedy się tak wlecemy niby ścieżyną, ale fałszywą, przyszlismy nad wąski jarek, w środku którego rzeczka płynęła, ale lokci ze dwadzieścia albo i więcej w głębi, a brzeg jeden i drugi jaru był wysoki. Szerzyny od jednego do drugiego mogło być lokci *praeter propter* do pięciu. Wszystko się to nad jarem zastanowiło, bo wdół się spuścić nie było podobna: boki jak ściany prostopadłe i obrosłe, a gałęzi suchych i ciernia pełno. Więc się poczęli zwracać w lewo a w prawo, szukając lepszego miejsca do przejścia. Jam też z Pyladesem nad samą krawędź parowu nadażył, i co tu dalej robić, nie wiem. Cuglem mu rzucił, patrze, a tu drudzy klną i rozsypują się w różne strony. Jednym razem anim poczuł, że konisko nogi zbiera, grzbiet dźwignął, i jak da susa, to oparłem się na drugim brzegu, tylko piasek i kamienie posypały się. Powiem szczerze: omal mnie ten skok niespodziany z siodła nie wysadził; i to szczęście, że cugli nie miał, bo bym był szarpnął, a wtedy — po wszystklem: obabyśmy w jarze byli leżeli.

Jeden był głos, że podobnego Pyladesowi drugiego w całym wojsku koniaby nie znalazł.

Ale nie czas było o koniach naówczas myśleć, gdy wszystkie umysły tylko bliską walką z nieprzyjacielem, ostatecznym końcem naszej imprezy, naostatek ciężkim położeniem naszym smutnie zajęte były. Można powiedzieć, że król tylko jeden nie utracił wielkiego ducha, a ten w nim rósł, owszem, z każdą godziną. W oczach nam z ciała opadł, policzki mu się ściągnęły, ale we dwójnasób ognia w oczach przybyło i takiej żywości młodzieńczej, żeśmy mu nastarczyć i podążyć nie mogli. Ja, com często koło namiotu sypiał i przede drzwiami na zawołanie stał, to wiem, że mi ciężko było tam bez snu wytrwać, gdzie król jegomość, i oka nie zmrużywszy, ani się zdawał trudzić. Ordynanse ustawicznie na wszystkie strony szły, bo, jako u naczelnego wodza, z każdego wojska szli odkomenderowani do tego ludzie przy jego boku, a listy, a rozkazy, a nieustanne odwiedziny książąt, grafów, wodzów, cudzoziemców wszelkiego narodu, najróżniejszych języków i twarzy, wolontariuszów, kawalerów, chciwych sławy wojskowej i nauki rycerskiej pod tak wielkim wodzem.

Jednego dnia, niżejmy jeszcze te góry nieszczęsne przebyli, nagle się rozeszła wieść, że cesarz sam przyjeżdża, aby króla naszego powitał; ale to było widocznie ułożone tylko, aby niby gotowość okazać, a w rzeczy bał się ruszyć i nie miał poco, bo tu by wcale nie poradził, a zamieszał dużo. Przybyłoby z nim ceremonji i parad, ostrożności względem poszanowania, a rycerska sprawa byłaby cierpiała na tem.

Z niezmiernym tedy trudem i uciążliwością

drapaliśmy się na górę Kalenberg, przy niesłychanym wietrze, który nam dał w same oczy, iż miejscami trudno się było ludziom na koniach utrzymać. A żeśmy się już zbliżali ku temu placowi, który miał rozstrzygnąć losy nasze, i gdzie właśnie pogan siła niezmierna leżała, więc nieustannie i prawie mimowoli przyprowadzano języka, włóczęgów od wojsk wezyrowych, zabrane bydło i konie. Aleśmy tyle tylko od Tatarów dopytać się mogli, że ani o nas wiedziano, ani się troskano: a czego król jegomość najwięcej się lękał, żeby turecka moc nie odciągnęła, nimbyśmy przybyli i szabel naszych na niej spróbowali, o tem i mowy być nie mogło, gdyż się wezyr kuśił właśnie o zdobycie miasta i w siły swe ufał, jakby go nikt w świecie pożyć nie zdołał.

Nim na ostatnią górę wlaźć przyszło, król u stóp jej popasał i spoczywał. Tu nam zaręczono, żeśmy już wszystkie przeszkody zwyciężyć mieli, i że od wierzchołka Kalenberga pod sam Wiedeń spuścistem wzgórzem, między winnicami, wygodnie wojsko schodzić będzie mogło. Aliści się i to inaczej potem okazało.

Wojska nasze poszły wyniosłość tę zająć na prawo, Niemcy zaś, Sasi, Bawarczycy i inne w lewo, a tu już odkrył się przed nami nocą widok wielki na miasto całe i na to obozowisko wezyra, które było straszliwie rozległe, jakby miasto drugie, gdzie wśród namiotów i szałasów tysięcy tysięcy, dopatrzyłeś i księżyców złotych, i różnych wspaniałości, kolorów, chorągwi mnóstwo. Wszystko to, jako mrowie u stóp naszych leżało na takiej przestrzeni, że, obliczając, co tam ludu być mogło, przestraszał ogarniał. Król się tak nie-

cierpliwil, jadąc, że, gdy widok się odkrył, dopiero odetchnął, a przystanawszy tu, jak wryty, nie wiem, co czynił, ale zdawało się, jakby się modlił. Ludzie do niego mówili: nie odpowiadał. Stał długo; dopiero, jakby ocknąwszy się, rzecze do hetmana:

— Oszukali nas: góry tej w prawo nigdy nie okazali wprzód, a zejście dużo gorsze, niż opisywano. Przyjdzie cały szlak bojowy zmieniać.

Potem spokojnie z góry wojska te krocie przeżegnał i do konia zawrócił.

Wojsko nasze całe rozstawiono wszecz na jakie dobre pół mili po lasach, tak, że ścieżkami tylko od skrzydła do skrzydła przedrapać się można było. Król przy piechotach w odkrytem nieco miejscu na samym skraju z prawej ręki kazał sobie rozbić namioty. Dokoła pułków piechotnych obciagniono wozami i końmi, jakby obóz, i postawiono kilka sztuk dział, które były przyszły w porę. Konnice, dragony, husarze, pancerni, petyhorce, gdzie kto mógł i jak mógł po lesie; tylko szczęście, że nas w tym nieporządku nie napadli. Do późna, aż ściemniało, król nie mógł spocząć, ino patrzył, rozglądał się, posyłał, ordynował, a powtarzał:

— Cóż to za pocziwe Turki, że na nas czekali! Inom tego się lękał, żeby mi nie uciekli. Bądź, Panie, pochwalony, żeś ich tu, oślepiwszy, wstrzymał!

Mało kto tej nocy zasnął pewnie, bo niemal przez całą z dział bito ustawicznie i błyskało ciągle a huczało; drudzy też, choć zmęczeni pochodem, z ciekawości zdrzemnąć się nie mogli i niepokoju o dzień jutrzejszy. Wśród obozu mało zrazu ogniów niecono, żeby nas nie odkryto przed cza-

sem; ale w nocy przysłał król z nakazem, aby drzew narąbać i kilka stosów dobrych nałożyć, tak, aby z Wiednia je dojrzeć mogli, i żeby im to otuchy dodało. Więc około tych ognisk siła było w wigilię bitwy takich scen, żeby ich na wołowej skórze nie spisał. Różne są natury ludzkie i humory ludzi, a nigdy się to lepiej nie okazuje, niż w tych chwilach, kiedy ludzie, z karbów powszedniego żywota wyszedłszy, mniej na siebie zważają i cugli sobie puszcza wolniej. Tu się też popisywały różne usposobienia w przededniu wielkiego boju, wróżąc, marząc, zgadując i na jutrzejszy się dzień sposobiąc.

Mnie że był właśnie król na oględziny wysłał, abym powoli obozowiska objechał, humory wybadał i zdał sprawę, co po wojsku się dzieje, jak żołnierz się ma i co sobie tuszy, tom całą niemal noc spędził, od ognia do ognia się włóczęc, serca dodając, śmiejąc się z jednymi, z drugimi kłócąc. A już, jako żyw, tej nocy na Kalenbergu nie zapomnę.

Młodzież też, po zwyczaju, gorączkowała, wytrawniejsi nie dowierzali i przemyśliwali; wogóle duch był jak najlepszy, ale wiał on od króla. Wdzieli wszyscy, jak szedł i jak promieniało mu tryumfem oblicze.

A tu też dodać muszę, co mało komu do wiary, chociażem ja na to oczyma własnymi patrzył, a i wielka część wojska także, godna rzecz pamięci i cudowna. Jakaśmy w góry morawskie wchodzili jeno, ponad tą gromadką, gdzie i ja byłem przy królu, wleciał orzeł ogromny, niewysoko ciągnąc, może na strzelenie z łuku; a prowadził nas tak aż na Kalenberg, to się podnosząc, to

zniżając, wciąż jednak kołując nad głową prawie królewską, przez więcej niż siedm mil. Jako przy ogniskach sobie to opowiadali, ominując dobrze.

Było rozmów, żartów, śmiechów, zakładów cocieniara. Podjeżdżam do jednych, a był między nimi Śniatyński z pod chorągwi księcia wojewody, żołnierz, jakich poszukać i nie znaleźć, stary już szpak: ten sobie na rożenku glogowym piecze jakiegoś ptaszka, oskubawszy, ale chmurny, jak ze środy na piątek.

— Czołem, mości panie.

— Czołem.

— Co się, jak ćma, po nocy tłuciecie? — pyta.

— Z rozkazaniem królewskim.

— To co innego.

— Ale cóż to wy — powiadam — jakby nie swoi? Czy co dolega?

— A co ma mi dolegać? — rzecze ze śmiechem — skóra dobrze wyprawna, nie boli, kości też nie miękkie, mięsa zaś nie mam, a dusza do azardu przywykła.

— Przecież czegoś sumujecie — rzekłem.

— Nie, ale się przed bitwą spowiadam sam przed sobą, a całe życie przechodząc i po tyłu trupach stąpając, toć wesoło bardzo być nie może.

Nazajutrz też Śniatyńskiego na świecie nie było. Innych znalazłem różnie: modlących się, odgrażających, a wrzawy, a śmiechu, ile dusza zechce. Przy jednym ognisku byli Turcy powiązani, którym świniny dawszy jeść, winem popili na wzgardę proroka, i tak to, jak drewno, legło, nieprzywykłe do trunku.

Jużem, objeżdżając swoje ognie, dotarł aż do Niemców, kiedy przybiega Łukowski, odwołując,

że tam ktoś na mnie czeka opodal. Podjeżdżam, widzę, na chudej szkapie ni to Tatar, ni ciur od naszych, ogorzały, ale gada do mnie połamanym językiem, niby naszym, a coś mruczy, że go dobrze zrozumieć nie mogę, a zerka na wsze strony, a bełkoce. Zbliżam się do niego; ten mi okazuje na migi, że ma na stronie do pomówienia ze mną.

— A cóż to za szczególna miłość waszmości dla mnie? Albo-li się to znamy?

— Tożci waszmość ze dworu od króla — powiada.

— No, od króla.

— A ja do króla — rzecze. — Prowadź!

— Z czem? — pytam.

— Z językiem.

I jakoś mu się gęba rozwiązuje, że coraz lepiej gada. Myślę sobie: „Niechże jedzie“.

— Ruszaj waść za mną!

Nuż się napowrót mimo ogniów drapać przez krzaki pod namioty królewskie. Wiodę go, jakby jakiego jeńca, a że do djabła był podobny, patrza na nas zewsząd i dziwują się.

Dobiliśmy się do namiotów wreszcie, złążę z konia, dając go Grzesiowi, aby iść z raportem; więc go pytam znów: czego chce? Ten mi swoje:

— Do króla.

— Stójże — powiadam — i czekaj! A jak cie mam oświadczyć?

Dopiero ów, przystąpiwszy tak, iż myślałem, że mi ucho odkąsi, szepcze raz i drugi:

— Mówcie od hana, od hana Mirza Mehmed Abdula. Król mnie zna; powiedzcie mu, że ten z pod Chocima.

Poszedłem tedy do namiotu. Tylko co się była

ostatnia rada wojenna skończyła. Zastąpił króla jego mość zamyślonego nad kartą, ale nie smutnego, rzeźwej myśli. Odwrócił się.

— A co?

Pocznę tedy mówić, com widział i słyszał, aż nareszcie o Tatarze. Król się wzdrygnął mocno.

— Gdzie jest?

— Przed namiotem.

Pomyślał chwilę:

— Dawaj mi go tutaj!

Więc ja po mojego Tatara, i prowadzę. Nikogo nie było, przeto mi król przykazał u drzwi pozostać.

— Słuchaj — rzekł — choćby cię pieczono i warzono w smole, nie powiadaj, co się dzieje w szkole; rozumiesz?

Nie trzeba mi było tego dwa razy powtarzać. Wszedł ogorzały ów z pokłonem, milczący, patrząc w króla, jak w tęczę, a król w niego długo i pilnie.

— A co wy tu robicie? — zapytał pan po chwili, jakby ochłonawszy z podziwienia i poruszenia, które się w twarzy wydawało.

Tatar miał głowę spuszczoną, patrzył niedobrze zpośród, nierychło i niełatwo zebrał się na słowo, ale poczawszy od bełkotania, potem już mówił coraz płynniej po polsku.

— Musimy — rzekł — swoich posilkować. Idziemy z Kara Mustafą za chorągwią proroka; alebym to ja, królu, mógł was zanytać lepiej: co wy tu robicie? Wszak to ziemia nie wasza.

— Sprawa to Boga naszego — odparł król — i ten mnie tu zesłał.

Tatar zamilkł na chwilę.

— Mamyż i my potykać się z wami? — spytał — my, stare wrogi i stare druhy? Siedzi naszych braci wiele a dawno na ziemi waszej, i dobrze im z wami. Byliście im gościnni, jak bracia. Choć musimy bić się z wami, nieradziłyśmy. Dajcie nam podarki i pokój mamy od granic. Zaczóż krew nasza i wasza o cudzy spór się ma przelewać?

Teraz król milczał.

Po chwili rzecze:

— Pcoś tu przyszedł? Zbliża się godzina, kiedy boża prawica między nami a wami ma rozstrzygać. Nie pora na słowa. Pcoś tu przyszedł?

— Jam tu tak przyszedł — odparł Tatar — jakem przychodził do was pod Chocimem: z ręką wyciągniętą. My się z wami bić nie chcemy i nie będziemy. Han mnie przysłał pozdrowić was i powiedzieć: „Pokój z wami!” Nie napadajcie na nas, a my bez boju zejdziemy z placu.

— Chcesz, bym temu uwierzył? — spytał król. — A cóż mi ręczy, że słowa twe nie są zdradą?

— Przekonacie się, wielki królu — rzekł Mirza. My nie pójdziemy na was. Han wie, że was tu siła boża prowadzi, że jesteście większym czarownikiem, niż my. Nie chce walczyć i próżno krwi przelewać. Przysłał mnie ze słowem zgody i pokoju: przychodzę. Posłem jestem, jakem już raz był — pamiętacie.

Zamyślił się król i rzekł po chwili:

— Uczynicież, jako obiecujecie, a braci waszej u nas będzie, jak w domu rodzicielskim. Potwierdzimy im przywileje i swobody. Nie chce, byś bez upominku odszedł.

Wztał król z kufra, który stał w namiocie, kiesz ze złotem i dał ją z rąk własnych Tatarowi, mówiąc:

— Oto będzie znak, że i ja was odsyłam do łana ze słowem zgody i pokoju. A ten oto — wskazał na mnie — odprowadzi was do przednich straży.

Tatar czoło pochylił.

— Nie trzeba — rzekł. — Znalazłem ja tu drogę pośród obozu waszego, odszukam ją i napowrót, mimo nocy. Niech Bóg wszystkim ludziom dobrym da błogosławieństwo!

To mówiąc, jeszcze się raz pokłonił i wysunął.

Jam stał jak oniemiały. Król skinął na mnie, abym go przewiodł. Ruszę więc wślad, ale tuż za namiotem w tę noc ciemną padł, jak w przepaść; tyle go oczy moje widziały.

Powróciłem tedy do króla. Modlił się już przed obrazem N. Panny. Po chwili wstał z wesolą twarzą.

— Milczć-że mi — rzekł sucho. — Nie wierzę ja w te tatarskie oferty: *timeo Danaos et dona ferentes*; ale nie godziło się odpychać. Jeśli jest komu zostać na straży, idź wasze spoczni, bo jutro będzie robota ciężka i, bodaj, długa, a dobrze się już i tak zmachaleś.

Wyszedłem, ale nie spać, bo weale mi się na sen nie zbierało; a żem o południu trochę się zdrzemnął w czasie odpoczynku, mogłem całą noc trwać obudzony, jak sobie postanowiłem. Szedłem tedy do swoich, gdzie dwór leżał, ale tu już mało nie połowa spała. Kilku zapamiętałych jeszcze kości rzucało; inni gawędzili o różnych wyprawach na Turków, jak sobie z nimi poczynano.

Ledwie się pokazał, potyka mnie pan Hrehory Szamowski, łapie za poję i woła:

— Dobrze, że cię mam, bo potrzebuję. Chodź ino ze mną!

Idziemy, nie mówiąc nic, ku ogniom. Patrząc: siedzi Nałęcz z kubkiem w ręku. Chciałem się wycofać, ale ten trzyma.

— Jutro, nie chybi — rzecze — gra o śmierć lub życie; przyjdzie niejednemu nałożyć głowę. Nie godzi się iść na sąd boży nieprzejednanemu. Musicie sobie podać ręce z Nałęczem, nie nie pomoże.

— Ależ się ja — powiadam — nie klócił, ani też i godzić myślę. Siła od niego poniosłem, siłąm przelknął, a cierpię, milcząc. Nie możecie żądać większego upokorzenia ode mnie.

Hrehory mi na to:

— On też sam ci pierwszy rękę poda i przejdna się z wami, tylko o pannie ani słowa.

Ledwieśmy to sobie powiedzieli, widzę, idzie pan choraży z panem Florjanem ku mnie, wołając:

— Panie Mroczek. dosyć tam już tych kwasów! Jutro z nas jeden może Świętą Tróję zobaczyć, bo kule a postrzały chodzą, nie przebierając. czasu bitwy; więc dajmyż sobie ręce po szlachec-ku, po bratersku, a spór odłożmy na spokojniejsze czasy!

Wyciąga mi dłoń. Nie mogłem swojej odmówić.

Podałem rękę w milczeniu.

Wołają tedy:

— Zapijmy zgodę!

— Był nie wielkim kubkiem — dodałem.

Roześnieli się. Pan Florjan dobył srebrnego, co go zawsze przy sobie nosił, naleli wina i wychyliłszy. Poczem już niewiele mówiąc, ale ze lżejszem sercem, powróciłem do namiotu królewskiego.

Wrychle też szarzyć poczęło. Obóz, co był nadedniem nieco ucichnął, powoli rozbudzać się i poruszać zaczął.

Czyli król tej nocy co spał, nie wiem. Jak dzień, znowu były narady wojenne; przyciągnęli książęta i wodzowie; a że z tych kart, które były wcześniej królowi przysłane, niedobre miał wyobrażenie o sytuacji, przyszło cały szysk boju i plan batalji odmienić. Ponieważ zejście z Kalenbergu wśród winnic a jarów wcale nie było tak łatwe, jakeśmy sobie zrazu wyobrażali, i spadziłość daleko przykrzejsza, niż mówiono, i zawał różnych wiele, przeto król jegomości postanowił, że przez trzy dni mieliśmy iść do głównej armji tureckiej i dopiero trzeciego stoczyć bitwę stanowczą. Oznaczył też na karcie i na ziemi od oka te miejsca, do których każdego dnia dojść byliśmy powinni. Tak było ułożono po ludzku, ale Bóg to lepiej sam sprawił, jak się zaraz okaże.

Mieliśmy zrazu, wedle myśli króla jegomości dawniejszej, całemi regimentami razem przeciw linie nieprzyjaciela; teraz zaś to odinieniono tak, że niewielkimi partjami znosić trzeba było pojedynczo ich kupy, zdobywać pozycje i wyruszać z posterunków, samym one zajmując.

Myśmy z wojskiem naszym prawie całem, wyjawszy kawalera maltańskiego, Lubomirskiego, zajmowali prawe skrzydło, obejmując zdala, szeroko, półksiężycem plac, by się osłonić od tatar-

skiego jakiego z boku natarcia, król bowiem owym obietnicom habsburskim wcale nie ufał. Książę lotaryński stawał z przeciwnej strony, od lewego skrzydła ku Dunajowi, zajmując górę Kalenberg i sąsiednie pagórki. Z tego powodu, będąc bliżej nieprzyjaciela, miał też nań wprzód nacierać. Elektor saski ze swymi był po prawej stronie księcia lotaryńskiego; bawarski też koło niego, także z prawicy. Wszyscy książęta na czele swych ludzi osobami swemi potykali się.

Na zaraniu wszystko się to szykować zaczęło. Król już był na nogach, dawał rozkazy, a w chwilach spoczynku modlił się, nic od rana w usta nie wziawszy, gdyż postanowił spowiadać się i komunikować przed bitwą.

Nieopodal stała niewielka kapliczka Św. Leopolda, gdzie właśnie mszę świętą z błogosławieństwem miał dla nas odprawić włoski kapucyn, ks. Marek Aviano, mąż pobożny a prawie święty, o którym wieści takie chodziły, że za łaską bożą cuda miał czynić.

Gdy król się udał do kaplicy, kto tylko mógł, to się tam za nim cisnął; drudzy z odkrytymi głowami stali przede drzwiami, bo ledwie dla przedniejszych miejsca stało we środku. Kapelani też i różni duchowni po chorągwiach, gdzie było można, na ołtarzach z darni i pniów, wprędce przysposobionych dla wojska, wszędzie mszę świętą odprawiali, czemu się obcy dziwowali niemało, żeśmy tak się okazywali pobożnymi aż do ostatniego ciura.

Gdy król przede mszą się wyspowiadał, królewicz też i hrabia Malini, wyszedł ksiądz ów ze mszą cichą, po której przyjeleliśmy wszyscy ko-

munję z rąk pobożnego starca, i naostatek błogosławieństwo na bój, do czego dodał po łacinie przemówienie ku nam i królowi.

Te tylko słowa jego zapamiętałem dobrze, iż odezwał się, kończąc:

— Jeżeli ufność macie w Panu, otrzymacie zwycięstwo. *Si habetis confidentiam in Deo, obtinebitis victoriam.*

Zaczem święty ów człowiek pokłękł, a potem położył się krzyżem i modlił, a gdy przyszło iść już na nieprzyjaciela, ujawszy krucyfiks w ręce, szedł przodem z nami, tak mężnie i spokojnie sobie poczynając, jakby jeszcze w kościele był, nie na bojuwisku.

Wracając z kaplicy Św. Leopolda, król, który od wczora kropli wody w ustach nie miał, a sił potrzebował, musiał zasiaść pod namiotem, dla niego postawionym prawie w przodku szyku, poniżej zamku, gdzie mu obiad przygotowano, który spokojnym umysłem pożywał. Była godzina, myślę, około jedenastej na półzegarzu, kiedy wstał od obiadu.

Wdział był król na ten dzień uroczysty koniusz sukienny, niebieski na żupan biały, jedwabny; konia pod sobą miał maści płowej, bardzo dobrego i wytrwałego, pewnych nóg i wielkiej mocy, bo też miał co i nosić. Krom Pyladesa, który był przyjaciel, nie koń, i stworzenie rozumem obdarzone, takiego drugiego w całym wojsku nikt nie miał. Do samej nocy, idąc z królem po najgorszych drogach, nie utknął. Jechał koło króla jegomości, poprzedzając go, giermek z puklerzem, w kształcie herbowej Janiny, i chorąży z proporcem, do

którego przymocowano u góry, na znak przytomności królewskiej, pęk skrzydeł sokolich.

Królewicz Jakób prezentował się też kawalersko, w lekkim szyszaku na głowie, ze zbroją piękną na piersiach i szpadą u boku. Przyczepili mu wszakże po naszymu do siodła szablę krótką a szeroką, bo, gdyby sam bronić się potrzebował, szpadąby niewiele dokazał.

Obyczajem rycerskim, iż się bitwa z nieprzyjacielem za największą uroczystość liczy, każdy też brał, co miał najlepszego i przystrajał się a przesadzał w rynsztunku, rzędach, siodłach i zbroi. W chorągwiach niemieckich tegośmy zwyczaju nie postrzegli, ale u nas się to działo od wieka i przechodziło tradycją z ojca na syna, aby do bitwy stawać, jak do ołtarza, w paradzie. I wszystko się odbywało uroczystości dnia tego, począwszy od mszy świętej, benedykcji, pieśni pobożnych, które nucili chorągwiami wszyscy, prócz piechoty cudzoziemskiego autoramentu, aż do samego iścia i spotkania, które czyniono jako powinność wielką, z duchem do Boga wzniesionym i dobrą sprawą przejętym.

Gdy wszystko było w pogotowiu, wojsko z okrzykiem na całej linii w Imię Boże posuwać się zaczęło. W pośrodku stanął sam król, któremu zdano całkowite dowództwo i przykaz od cesarza samego, by jego ordynanse święcie spełniano. Książę lotaryński przysłał na ten cel do orszaku królewskiego dosyć swoich wojskowych, aby z ordynansami było kogo rozsyłać. Dział mieliśmy i niewiele, i małych; przeto, choć je na górze ustawiono, a ognia z nich dawano, kule albo nie sięgały Turków, lub mało co im szkody czyniły.

Bylem przy królu jegomości, gdy na koń siadał, i mogę zaświadczyć, bo na to własnymi oczyma patrzałem, że z niecierpliwości i tego pragnienia boju, jakie miał, gorzał wyraźnie. Wydawało się to na jego twarzy, która cała była jaśniejąca i na podziw rozweselona, promienista, jakby na największą szedł ucztę. Z góry już stąd cały porządek bojowy doskonale oglądać było można.

Turcy się prawie nie ruszyli, i zdawało się, że, nie zważając na nas, coraz zapaniatalej do miasta szturmują; zajęli tylko z wieczora samo podnóże gór pod zamkiem, w dziesięć do dwunastu tysięcy ludzi, których, ukrytych w głębokim rozdole, ledwie wierzchy chorągwi widać nam było, bo ich góra zasłaniała.

Od rana poczęły się już były na lewem skrzydle szarmyce, ale małemi kupkami, jakby na próbę, ze szczęściem różnem. Występowali do nich dragoni sabaudzcy, trocha Sasów i nasz też oddział z kawalerem maltańskim, Lubomirskim, marszałkiem naówczas nadwornym koronnym. Już żwawe były utarczki wprzód, nimeśmy też my poczęli, a pułkownik chorągwi Lubomirskiego, niejaki Kiński, dostał szablą przez głowę od Turka tak szpetnie, mimo, że sobie zrana w czapkę włożył był podkowę od cięcla, iż we trzy dni potem Bogu ducha oddał.

Turcy tem zrazu Niemców oszukiwali, iż, wedle swego obyczaju, zsiadłszy z koni, potykali się, a dawszy ognia, koni znowu dosiadali, na których sądzono, iż uciekać myśleli, wlec się jazda na nich oślep rzucała w gąszcz, a oni ją, obstąpiwszy, siekli, że ledwo kilku z życiem uszło.

Już, gdyśmy z królem naszym na konie wsie-

dli, bitwa się była na lewem skrzydle rozpoczęła na dobre, a i koło nas też pukano. Taki harc po tych górach, rozdołach i jarach wszczynał się coraz żywszy, że aż gorączka brała samemu tam wpaść i szabli też dobyć a pohulać; ale obowiązek za nogi trzymał.

Turcy się byli pozaszywali wszędzie między owe winnice, poza murki, w jary, w doły, a wyprzeć ich posterunki nie wszędzie było łatwo i krwi to naszej kosztowało dosyć. Aleśmy się posuwali wdół i całym ciężarem padaliśmy na nich zewsząd, jak grad z góry.

Prawie w samym bitwy początku spotkał króla i nas smutny *omen*, z którego, gdyby nie lepsze serce i ufność w Bogu, można było bardzo źle wróżyć o dalszych naszych losach. Chorągwią husarską ojca swojego, kasztelana krakowskiego, Jędrzeja Potockiego, dowodził zawołany rycerz, wypróbowanego męstwa i sławy już wielkiej a nadziei dla ojczyzny młodzieniec, starosta halicki. Znaliśmy go wszyscy z najpiękniejszych duszy i serca przymiotów, jako męża rycerskiego, któremu hetmańską buławę prorokowano, boć nie nowina była Potockiemu hetmanić. Ten to był, który zmlodu wiele już podróży odbywszy, z Włoch powracając do Belgji, ze statkiem prochami wysadzony został niedaleko miasta Brukseli, ale prawdziwie cudownie, za łaską widać tego św. Wincentego, którego ciało w Rzymie papież mu był ofiarował, salwował się z życiem, cało i zdrowo na kępe będąc wyrzucony. Gorącego temperamentu w potyczce, nie zważając na żadne niebezpieczeństwo, starosta halicki prowadził husarzy na okrutną rzeź, gdzie wielu godnych kawalerów

poległo i on sam, mimo koszuli żelaznej, którą był okryty, śmiertelnym strzałem nawylot rażony został. Znalezione potem ciało jego wśród winnicy, z ręką na piersi, ale już zimne, które nieszczęśliwemu ojcu odwieziono i pogrzebiono w Stanisławowie.

Kiedy o tem znać dali, król aż zapłakał, bo go kochał, jak syna i wiedział, jaką to sprawi boleść kasztelanowi krakowskiemu; ale to w niczem jego męstwa i ufności w Bogu nie zachwiało. Szliśmy tedy naprzód, wciąż posuwając się, a raczej wdół, gdy przypadło drugie poselstwo, że wyprawiony przed pół godziną przez króla jegomości pan podskarbi nadworny, Modrzejewski, gdy z rozkazami przed linją przejeżdżał, od postrzału także zginął.

Tak się nam ten dzień od fatalnych klęsk poczynał, jak gdyby Bóg stałości naszej chciał próbować, ale i król, mimo żalu, i ks. Marek zagrzewali, ażeby choć do tego miejsca dotrzeć, kędyśmy wedle myśli królewskiej stanąć na noc obozem byli powinni. Gdyśmy się spuszczały coraz z gór, już i cała ona armja Kara-Mustafy pokazywać się nam zaczęła, odsłonięta, a było tego, jak mrowia, tak, że my, choć rozłożeni na przestrzeni znacznej, kupkaśmy się przy nich wydawali. Na samym skraju obozu stały siły główne tureckie, ku nam obrócone, chociaż inne tymczasem dobijać się do miasta i szturmować nie przestawały.

Od rana dnia tego skwar był tak okrutny, jak w kanikule nikt nie pamiętał; słońce piekło, gdyby rozpalonem żelazem, że się nam szyszaki na łbach palić zdawały, a pot z koni i ludzi strumieniami się lał; pragnienia zaś nie było czem ugasić. ni człeku się czem orzeźwić.

Gdy tak posuwamy się pod tą spieką, jakby pod piecem rozpalonym, król skinął ręką na mnie, abym się zbliżył, i wskazuje ku husarzom na prawo, by co rychłej ruszyli się zajmować pogórek.

— Leć wasze do nich, a powiedz — woła — na Boga żywego, niech mi co najprędzej biorą ten garb, a wyforują to tałajstwo tam z nory!

Od spodu bowiem kupa była Turków zasiadła i przyczaiła się.

Spiąłem ja Pyladesa, który tego dnia cudów dokazywał, i poczną sadzić; ale spadziństwo miałem na drodze tak wielką, iż myślałem naprzód, że koń padnie, potem, że ja mu na łeb polecę. Na grzbiecie mu się kładł, by usiedzieć. Gdzieby był człowiek innym razem ledwie się stępa ważył, tu było w cwał potrzeba. Ciężar jeźdźca i broni zdawał się konia przygniatać, ale ten nieoszacowany Pylades wyrwał mnie ze wszelkiej toni; jam się, przeżegnawszy, modlił, on swoje robił. Tuż wpadłam na husarzy trzeci szereg, alem się utrzymać nie mógł i poleciałem do pierwszego: Znalazłem się więc razem z nimi, którzy, nie czekając rozkazu, na Turków wsiedli podczas samej bitwy. Tłukli ich dobrze. Wzięła i mnie tedy chętka, bo cóż, miałem być nieczynnym spektatorem i martwym rozkazodawcą? Puszczę się w kupę z drugimi między one kaftany i pozawijane lby, a dobywszy szabli i zrobiwszy nią krzyż w powietrzu, kiedy nie poczną siec w lewo, w prawo, nie patrząc! A mój koń też, poczuwszy, co to za gra, gryzie sobie i chwytą, co napotka!...

Turek bestja, olbrzym ogromny, w czerwonym kitlu, zakasawszy rękawy, z nożem w zębach od zapasu, sadi na mnie wprost, krzywego handza-

ra podniósłszy; ja też nań. Płatnę go raz, tylko świsło w powietrzu, nic... zgiał się tak na siodle i położył, jakby go na szkapie nie było; aż znie-nacka pochwyci się, podniósłszy, i przyskoczy do mnie wraz z koniem, gdym wcale nie był gotów.

Tylkom się przygiął, myśląc sobie: „Tu mi dopiero koniec!” Aż Pylades ze mną przeciw niemu kiedy nie chlusnie, potem pyskiem za gardło poganina, który się podał nieco, i ścisnął go tak, że mu szablą z rąk na ziemię wypadła, umarłemu. Tak mnie to pocziwe, rozumne zwierzę od niezawodnej śmierci salwowało swoim męstwem i roztropnością. Nie było czasu koło trupa chodzić, choć wydał mi się jakiś znaczny komendant, tylkom trochę zlął, by mu żeber pomacać; ano nie-darino, bo za pazuchą kiesę napytałem dobrą, i zegarek złoty, wielki, jak rzepa. Tom tylko wziął, - siadłem na koń i dalejże znów, choć miałem przykazanie, wydawszy ordynans, powracać zaraz; ale już, pot poczuwszy, głowę straciłem. Puszczę się raz jeszcze w tłum; natyka mi się właśnie Nałęcz, jakby mnie Opatrzność dla niego zesłała: z ręki mu krew chlusta, a bije się ostatkiem sił. Bryzgnęło na mnie krwią, aż mało mi oczu nie za-lało, i całą twarz miałem umazaną. Dwóch Turków na nim siedziało, a bronił się im, nie było co rzec, bardzo rycersko. Wtedy ja, choć niebardzo miłemu, ale bratu mojej panny, na odsiecz wedle powinności chrześcijańskiej pośpieszyłem. W samą porę, bo słabł od utraty krwi. Z boku z Pyladesem przyskoczyłem, i jednego z pogan poczęstowałem tak pięknie zaraz, że się mi aż do ziemi pokłonił. Nie czekając więc, przesadziwszy trupa, szedłem na drugiego i płatnałem w ramię; Nałęcz

kiej chorągwi, wpadł do mnie, trzymając w rękę pas, cały sadzony kamieniami białymi, nie naszym obyczajem zrobiony, ale dosyć kształtny. Jemu, jako i mnie zdało się, iż szkła to były krzyształy, foremnie rzezane; a do czego taki pas miał służyć, trudno było odgadnąć. Powiada, że chce sprzedać. Zrazum i kupować nie myślał; potem, gdy się napierał, rzekłem sobie w duchu, że dla osobliwości podczaszynie go zawiozę w podarku. Dałem tedy kilka talarów onemu drabowi, a pas kazałem rzucić do skrzyni i więcej o tem nie myślałem. Dopiero nierychło, gdy po obozie różne rzeczy rozprowadano, mówi mi Ślaski o pasach diamentami sadzonych, których wiele znajdowano w namiotach, że ich kilka król kupił. Ja mu na to:

— A to może i mój też diamentami sadzony.

— Gdzie? Pokaż!

Dobyliśmy — ano w istocie się okazało, że, choć diamenty nie były najpiękniejsze, przecie nie co innego, tylko one. Co siodeł bogatych, makat, sukna, materyj, broni i różnych osobliwości nabrano, wyliczyć niepodobna.

Czułem się mimo rany tak nieźle, żeśm mógł pomyśleć, co dalej czynić z sobą. Bo długo tam w tym namiocie pozostać nie było można: król dalej w pogoń za Turkami chciał iść, a na łasce Niemców nawet rannych nie można było zostawić, taka zaraz po tej wiktoryi okazała się niechęć i zazdrość, żeśmy im z przed nosa zwycięstwo wzięli. One dawniejsze czułości dla nas, grzeczności, zalecania, mało nie tej samej godziny zmieniły się w zawiść i otwartą nieprzyjaźń. Ile król na tem ucierpiał, nie tu pisać. Następnego ranka (to jest zaraz po zwycięstwie) wybrał się, jak mi powiada-

no, do Wiednia, aby tam w kościele Panu Bogu złożyć publicznie dzięki za pobłogosławienie orężowi naszemu. Tu go jeszcze ludność przyjmowała, całując po nogach, cisnąć się, aby oblicze jego oglądać mogła; ale już starszyzna hamowała.

Zpołudnia próbowałem się ruszyć; szło ciężko, ale się przekonał, że na wozie za wojskiem pociągnąć będę mógł, bom zostać nie chciał w żadnym razie, czekając w ostatku rozkazania królewskiego.

Tego dnia dopierośmy wszystkie straty nasze obliczyli, ilu nam godnych ludzi nie stało: ten zabity, ów kałeka, inny nie wiedzieć, jako i gdzie się podział, taniego odszukano. I tak cały dzień. Od Turków też przyszły wieści, bo ich ścigał Międzyński, że precz z całą armją poszli, nie pytając reszty. Tu się tedy rozbijały zdania, co król uczynić powinien i co zrobić? Ma-li zaraz, ocaliwszy stolicę, do domu powracać, czy iść dalej i bić się jeszcze? Było wielu takich, a wielkich statystów, którzy utrzymywali, że nam, poselstwa naszego dopełniwszy, koniecznie do siebie na swe śmieciśko iść było potrzeba, a kto wie, czy, ewentualnie późniejszy zważywszy, nie było to najlepsze.

Król z rana pojechał oglądać przykopy, miny, obozy, potem na nabożeństwo do miasta, gdzie go gubernator przyjmował, a nad wieczór powrócił, ekspedując na wsze strony listy i posły, oznajmując o zwycięstwie, szczególnie do Ojca Św. do Rzymu i do innych chrześcijańskich monarchów. Tu innie też to szczęście spotkało, że, jadąc do wezyrowskiego namiotu, zsiadłszy z konia, gdy mu ktoś powiedział, że Mroczek leży blisko, wszedł sam osobą swą pod namiot mój, kiedym się wcale

tego spodziewać nawet nie mógł. Nie chciałen. zrazu oczom mym wierzyć, gdy go ujrzałem. Twarz miał pan rozpogodzona, spokojną, ale znać było, że nie bez troski o jutro.

— Cóż ty myślisz, nieboraku, hę? — rzekł do mnie. — Płatnął cię dobrze poganin. Ale to nie wyliżesz się, mospanie, z tego, a będziesz miał pamiątkę pocziwą i przypomnienie miłe, żeś ze mną był na tych godach. Ale ja tu długo popasywać nie myślę — dodał — ruszymy dalej. Waćpanu zaś za wojskiem wlec się, rannemu, niema poco, ani tu zostawać nie życze. Więc zbieraj się, jeśli możesz, a siły czujesz, do domu.

Podziękowawszy za łaskę królowi, że o mnie, mizernym słudze swym, raczył nie zapominać, rzekłem, że uczynię, jak mi rozkaże. Król pomyślał nieco:

— Posyłam ja tam — rzekł — do królowej z darami; jedzie kilku posłańców. Przyczep się waszmość do nich, bo nie masz tu co robić. Doktorą przyśle, żeby cię opatrzył.

Jakoż w istocie, nad wieczór przyszedł Włoch od króla, Pecorini, który moją nogę opatrywał, ranę znalazłszy nie tak straszną, ale z utraty krwi osłabienie wielkie. Przewijano mi nogę, co nie przyszło bez boleści wielkiej. Dopierom i ja sam się przypatrzył, jak mnie poczęstowano. Płatniety byłem w udo szpetnie bardzo; szczęście, że cięcie głębokie, zaraz jakoś wałąc się z konia, tak uciśnąłem, iż się rozpadłe ciało zeszło, a że rana była świeża a krew młoda, więc się spoilo to, co szabla rozplatała. Dał mi Pecorini balsam jakiś do przykładania na ranę, kazawszy ją obmywać i patrzeć, aby czysto zawsze utrzymywana była.

i niezem jej nie zaogniać. Stało mi go mało nie do domu, a potem się już innemi od cyrulików maściami, choć mniej skutecznemi, wygajało.

Dowiedziałem się też dnia tego, że pan Nałęcz leżał, nie lepiej wyszedłszy, niż ja, z tej bitwy, i że go też do domu odsyłać miano. Niewiadomo z czego, pochwyciła się go była później gorączka mocna, tak, że przez kilka dni ludzi nie poznawał, i dziwy tam o tem pletli, że nań czary jakaś Turczynka rzuciła. Ja, czując się wcale, jak na ranego, nieczgorzej, a myśląc już o podróży, bo tu po odciegnięciu króla i wojska pozostawać nie było czego, jałeni się zaraz wozy sztyftować, mając z łaski królewskiej, choć sam za zdobyczą nie chodziłem, łup całę od drugich nie gorszy. Opatrywałem ową skrzynię i znalazłem w niej ze trzy lysiące czerwonych złotych moneta, różne kosztowności, kulbakę sadzoną, piękną, strzelb kilka, zegarek, słowem, dodawszy do tego, com wprzód zdobył, miałem za co ręce założyć. Koni też po Turkach, co je łapano wówczas, cztery kupilem za bezcen i wóz drugi do rzeczy dostałem łatwo. Namiocik, pod którym leżałem, dla pamiątki zwinąć też kazałem, aby nie przepadł. Podlejszych tego dnia i następnych można było dostać za „Bóg zapłać“, ile kto chciał, bo nie wiedzieli już, co robić z niemi.

Ten dzień mnie, mogę powiedzieć, tyle prawie zmordował, co sama bitwa; bo się ze wszystkim potrzeba było pośpieszać, a sił nie miałem wiele i ludzie spoczynku nie dawali. Dychawka mi dołożyła, że między innymi i pana Florjana nie stało, bo padł od postrzału jeszcze w winnicach, i dopiero nazajutrz ciało, odarte szkaradnie przez ciurów,

z piersią nawskrós przestrzeloną i głową posiekaną, znaleźli ślady. Zmówiłem zaś Anioł Pański, nie myśląc się cieszyć, choć mi Pan Bóg w nim nieprzyjaciela wziął.

Ponieważ po spodziewanem odejściu króla z wojskami naszymi, które nazajutrz nastąpić miało, niepodobna było dłużej na obozowisku pozostać, a nie mogłem też zaraz i w drogę ruszyć, musiałem się dać przewieźć do Wiednia, dopóki-
hy wszystko do podróży nie było gotowe, i ja też z moją raną. Przejeżdżam na wozie ono pole ogromne, zajęte przez obóz wezyrowski, tak cudownie zdobyty, a choć tędy przeszły już ręce grabieżników, jeszcze to, co pozostało, napelniało podziwieniem. Z jaką się wspaniałością i wygórkami wybrali byli Turcy na tę wojnę, wysłowić i opisać trudno: wezyrowskie namioty miastem prawie były niemałym, z ogrody, fontannami, zwierzyńcem i wszelakiej fantazji dogodzeniem. Toż baszów innych, choć mniejsze, ale wspaniałe mieszkania, seraje, w których trupy tylko kobiet znaleziono; nareszcie pospolitego żołnierza namioty rozlegały się na niezmiernej przestrzeni, tak, że brał je potem, kto chciał. A co nasi hipów, komu szczęście posłużyło, nazdobywali, nie wypowiedzieć. Byli tacy, co się z bogacili: królowi też niemałe skarby i różne osobliwości stąd przyszły, broni kosztownej, kamieniami sadzonej, rzędów, siodeł, dywdyków, opon, kobierców, namiotów, bez miary.

Ledwie się dokonała sprawa nasza, a Turcy pierzchnęli, zaraz inny wiatr poczał wiać od dworu cesarskiego i Niemców, którzy się z tem nie kryli, że nas krzywym okiem widzieli, zazdrościli.

i, zamiast wdzięczności, zawzięcią jakąś tchnęli. Było to tak widoczne i królowi i całemu wojsku, że omylić się niepodobna. Mnie też tu wśród niegościuynych Niemiaszków długo się nie chciało siedzieć, a jak — skoro król odciągnął — Pecorini, który z polecenia jego do mnie zaglądał, osądził, że jechać mogę, kazałem wozy sposobić, a sobie mój węgierski wysłać, tak, abym leżeć mógł, i w Imię Boże ruszyłem się, już nieco lepszymi drogami, ku Krakowowi. Co się po gościńcach spotkało, nie wymieniam; co po gospodach doświadczyło, niech Bóg nie pamięta ciurom, których wszędzie było pełno, a z którymi się o nocleg drzeć i codzień prawie rozprawać przychodziło na szable. Dużo leniwych i ramnych, jak ja, wracało do domu, a większa część nie próżno, bo ci, co najmniej się bili, łupili najlepiej.

Chociaż miałem Grzesia z sobą i dwóch ludzi wzięłem od przyjaciół dla bezpieczeństwa, gdyby nie pan Paweł Parczewski z pod chorągwi wojewody pomorskiego, który miał z sobą trzech pocztowych, mało co poraniouych a rzeźkich chłopaków, całobyśmy nie wyszli, i my, i juki, i wozy. Gorzej było po gościńcach, niż z Turkami pod Wiedniem, od wszelkich włóczęgów, którzy nikogo nie poszanowali.

Lżej odetchnąłem, gdy naostatek Wawel i wieże P. Marii zobaczył, gdy wozy moje weszły do gospody i jam też, zniósłszy rzeczy, rozstawał się w izbie wygodnej i bezpiecznej, aby się dorezszty wygoić, nimbym do domu się dostał.

Parczewski poszedł po doktora. Było nas takich czterech, cośmy jego rady potrzebowali: ja, on i dwóch szlachty, co z nami jechali. Moja rana

w drodze się od niewygód zaogniła mocno, jako też innym, i mięso psuć się poczęło, bo nie umieli koło tego chodzić. Musieliśmy tedy o sobie myśleć.

Napisawszy do pana Jacka, jakom żyw i co się tu ze mną dzieje, zażywałem wczasu, o ile choroba pozwalała. Mogę też powiedzieć, że od przyjazdu do Krakowa gęba się i drzwi nie zamykały. Procesją szli do mnie i znajomi i nieznajomi, rozpytyjąc, bo naówczas mało co jeszcze wiedzieli o wyprawie naszej a zwycięstwie. Balanuctw się też i srogiego łgarstwa namnożyło, tak, że, ktoby był wszystkiemu wierzył, w głowieby mu się zawróciło. Tryumfowano po kościołach, odprawowano nabożeństwa, dziękowano Bogu, a cześć dla króla, bohatera naszego, prawie półświątym go uczyniła. Było i żałoby niemało, bo się nią każdy tryumf opłacić musi: ale na onych pogrzebach i egzekwjach laury na trumnach kładziono; rycerzowi chrześcijańskiemu za wiarę paść szczęściem było i ozdoba. Przez Kraków podówczas w szyku ciągnęło zło i dobro, owe ciała zabitych i wozy z łupy, wieści zwycięskie i postrachy głuche, bohaterowie okaleczeni i tchórze, co od boju uciekali; tak samo prawda i fałsze z nietoperzemi skrzydły.

Nie będę opisywał, jakom tu przeleżał i przemęczył się a czas spędził, boby niemal każdy dzień potrzeba było notować, i owe gazety, które od wojsk dochodziły, zwłaszcza po bitwie pod Parkanami, gdzie król mało życia nie postradał, a drudzy też go już za zabitego głosili. Wszelako Bóg strzegł jakoś od tak wielkiego nieszczęścia. Dostałem listy od pana Jacka, ale te mnie nie dźwignęły z pościeli, i owszem, na czas smutkiem

do łoża przykuły, bom się z nich dowiedział, że starościanka, nie mogąc dłużej opierać się naleganiom dwóch braci, pozostałych w domu, aby koniecznie za obranego przez nich szła zamaż, opuściła dom i czasowo przeniosła się na mieszkanie do klasztoru panien zakonnych Św. Franciszka w Wilnie. Nie uczyniła tego, jak zaręczała podczasyna, w myśli tej, ażeby zostać w zakonie, ale oczekując, aby się okoliczności zmieniły i unikając nalegań a napaści takich, które jej prawie gwałtem groziły i nieznośnemi się stały.

Noga się była zrosła, choć ból jeszcze trwał i na koń sięść nie było sposobu: mogłem wszelako choć o kuli do stajni pójść codzień, aby to pocziwe zwierzę zobaczyć, któremu życie byłem winien. Gdy godzina przyszła, kiedym nawykł do stajni iść, to Pylades głowę trzymał obróconą ku drzwiom, a byle kroki postyszał, rżał zaraz i rwał się do mnie. Ano, co mnie naliżał, co się ze mną napięścił, tegoby i pies nie potrafił. Dziwno by rozum i czucie było w tem zwierzęciu, jakoby ludzkie. Jużem od wiedeńskiej potrzeby nikomu na niego sięść nie dawał, a gdy przeprowadzić dla zdrowia musiano, brali go na powód, siadał Grześ na karego podjezdka i tak go pod tureckim dywdykiem paradnym prowadzono, jako królewskiego rumaka. Stroilem go, jak lalkę, i wyglądał, gdyby na obrazku, a co mi zań podówczas dawali, nie do wiary; alem się śmiał tylko, bo, choćby mi wioskę kto ofiarował, nie wziąłbym. Konia sprzedać nie nowina, ale przyjacielem frymarczyć — grzech i żydowstwo.

O kuli jeszcze obszedłem kościoły krakowskie z nabożeństwem, gdzieś we dwóch wota moje za-

wieścił Panu Bogu na podziękowanie, że mi i cały wyszedł i ze czią, a było też w nich i do przyszłości coś.

Pan Jacek naglił, abym powracał do Wólki. I mnie samemu pilno było; ano, już nie tak ciągnęło, jak gdy starościankę spodziewałem się tam znaleźć. Tęskno się przemyślało, co dalej będzie, jako się to da poprowadzić do końca i z tymi braćmi.

Jednego dnia przychodzi do mnie Parczewski, który się też w Krakowie zatrzymał, i prawi, że słyszał, jakoby mnie ktoś po całym mieście szukał. Nad wieczór zmierzchało; chłopiec był jeszcze świec nie przyniósł. Słyszę, ktoś się w przedpokoju dopytuje:

— Tu pan Mroczek?

Poznałem głos chorążego Nałęcza.

— Niech będzie pochwalony! Czotem wasci, panie Janie!

Zerwałem się i postąpiłem krok.

— Czotem! Ano, jak się macie i skąd to Bóg prowadzi?

Wtem Grześ ze świecą nadszedł. Przypatrzyć mu się: błądy strasznie, wychudł, wynizerniał, postarzał. Jak stał, tak na krzesło padł.

— Co się z wami działo? — pytam.

— Dużom biedy się najadł — rzecze — od czasu, jakście mi życie salwowali. Nie chciało mi się wojska opuszczać, myślałem, że ręka predko wydochrzeje. Poleżałem w Wiedniu i niezadługo też odzyskałem w niej władzę, a potem i wojsko nasze nagoniłem, choć rana nie była jeszcze całkiem wygojona. Cośmy tam biedy zażyli, trudno opisać; dosyć, że mnie znów tatarska strzała z że-

leżcem pod szyję, jak na rożen. wzięła, żem po wyjęciu jej przez starego żołnierza lizał się długo, nim dziura zarosła. Tego mi już było dosyć. Wymęczywszy się dobrze, ot, jak widzicie, wlokę się do domu. No, a wy, panie Janie?

Jam mu też opowiedział, co się działo ze mną, i, kończąc, dodałem, że, skoro wydobrzeję, do domu ruszyć zamierzam.

— Jedźmyż razem — rzecze — obaśmy kalleki, to jeden drugiego ratować będzie. Myślę, że stare nasze waśni rzuciliśmy pod Wiedniem, gdy moja krew waszmości twarz oblała, a waścina szabla resztę mi jej ocaliła. Bądźmyż odtąd jako bracia i przyjaciele.

Podziękowałem chłodno, bo mi znów tak bardzo cisnąć się do łaski nie chciał. Kazałem przynieść wina, i poczęliśmy potrosze pić i opowiadać. Przyszedł Parczewski, zeszło się jeszcze kilku, a było o potrzebie wiedeńskiej całej na jakie dwa lata powieści, choćby dzień i noc gęba się nie zamykała. Rozochociliśmy się wszyscy, aż miło.

Wtem chorąży zagadł:

— Jużem też sądził, że dawno w domu jesteście. A co, to wam do Wólki nie pilno?

Mówię:

— Nie uciecze ona. Jacek tam gospodarzy. Zresztą, nie byłem zdrow, musiało się żyć na łacińskiej kuchni.

Pokręcił głową.

— Pewnieście — rzekł — mieli pismo od pana Jacka.

— A jakże — powiadam — nie bez tego.

— No, to zaraz rozumiem, dlaczego wam nie pilno było do domu.

Na tem rozmowa prysła, i znowu do innych przeszła rzeczy.

Wtem Parczewski, który był później nadszedł, prawi:

— A to istne dziwy z tą naszą wiedeńską potrzebą! Co człek, to historia nowa. Wystawcie sobie asaństwo, co mi dziś opowiadają. Na Kleparzu stanął wracający jakiś od wojska szlachcic, znać majątny, z wozami wielu, a zgadnijcie, co za łup osobliwy wiezie z sobą do domu.

Jak powiedział: „na Kleparzu”, uważałem, że Nałęcz drgnął i obrócił się; słowa jednak nie rzekłszy, za kufel wziął i wina popił.

Poczęli wszyscy zgadywać. Ten mówi wielbłąda, ów konia, inny strusia, małpę i t. p. Parczewski tylko ramionami rusza i uśmiecha się, aż rzecze:

— Nikt nie zgadł. Ów sobie najlepszą wybrał częśćkę, bo słudzy opowiadają, że, gdy na obóz turecki napadli, rycerz ten, ranny będąc, za obozem na wozie jechał. Stał wóz na skraju namiotów prawie opuszczony od ludzi, bo się wszyscy byli na łupież puścili. Noc już dobrze zapadła, gdy z ciemności ukazała mu się niewiasta nadzwyczajnej piękności, ubrana bogato od lam złocistych, maneli i pierścieni, a ze strachu napół żywa. Była się gdzieś skryła czasu bitwy, aż dopiero wyszła, chcąc ratować się ucieczką, a postrzegłszy, iż w ręce żołdactwa wpaść może, sama się oddała pod opiekę naszemu panu. Jak i co tam później zaśzło, nie wiem; ano pewna, że ją wiozą do Polski ochrzczoneą już, i że, jak słudzy mówią, ów szlachcic ma się z nią żenić.

Patrzałem na Nałęcza, który wino popijał i nie

mrugnął czasu tej powieści; dopiero, gdy Parczewski dokończył, wstał i rzecze spokojnie:

— *Per Dominum nostrum* waści to ludzie opowiedzieli. Ja coś o tem więcej bodaj wiem, bo owa Greczynka ze mną jedzie, i tym szlachcicem ja jestem, jeśli wiedzieć chcecie.

Zamilkliśmy na to, jak makiem zasiał; ale Dy-chawka, śmiały i rezolutny, a do tego mając potrosze w czubie, ozwie się śmiejąc:

— Ano, kiedy tak, panie chorąży, to powinniście nam lepiej opowiedzieć od pana Parczewskiego, aby bałamuctwa nie chodzily po świecie.

— Czemuż nie? — zawołał Nalecz — albow to ja się myślę kryć z tem? Posłuchajcie, i owszem. Kiedy mi poczciwy Mroczek życie ocalił, miałem rękę szpetnie pociętą; potrzeba było na wóz iść i dalszej siekaniny zaniechać. Odsadził mnie ten poganin od godów, jak kota od mleka, małam nie płakać; bo co to patrzeć na drugich, jak zwyciężają, rąbią, siekają, a samemu by w niewoli siedzieć! Ale wola boża. Wlokłem się na swoim wozie wciąż za chorągwiami, jak było można najbliżej. Wieczór był i mierzeliło, gdy obóz zdobyto. Ale, jak skoro się wojsko dobrało do namiotów opuszczonych — choć był najwyraźniejszy rozkaz królewski, żeby się nikt łupić nie ważył — i świeciły już nie utrzymali. Od mego wozu też ludzie prysnuli. Zostałem sam; noc nadeszła. Patrząc ze wzgóрка małego, na którym się były konie zastanowiły, gryząc trawę, na to obozowisko, na łataninę wśród niego ludzi, ognie, strzały luźne, na wrzawę i zamęt, w głowie się kręciło. Buchnęło, jak z kotła, okrzykiem jakimś, to znów tylko szum, jakby lasem burza miotana. Przede mną była uliczka po-

między namiotami, tak, że dosyć w głąb między nie widać było; a że wprost przed oczyma leżała, snuł się tam wzrok mimowoli. Jednym razem patrząc, leci ulicą postać jakaś, ręce w górę, jak na Rawiezu pannę malują, szaty za nią, jak skrzydła, i tuż dwu ludzi ją ściga! Nie byłbym już szlachcicem i rycerzem, gdyby na widok niewiasty, choćby poganki, w takim ucisku, krew we mnie nie zawrzała. Nie zważając na ranę, nie myśląc, co czynię, rzuciłem się z wozu. Pod ręką miałem muszkiet nabity. Wyrwałem się kroków kilka: ta prosto ku mnie leci, i nie wiem, co się stało, u nóg moich padła zemdlona. Wtedy wrzasnąłem na ścigających takim głosem, podniosłszy muszkiet, że ich w ziemię wryło. Chcieli zrazu pójść ze mną w zapasy, ale jeden z nich mnie znał, nie wiedział, że mam ranną, więc poszeptali z sobą coś i znikli.

Tuż ja dopiero zostałem z tą niewiastą sam jeden; rób teraz, co chcesz: leży, jak martwa, a tu, ani wody, ani lekarstwa, ani zresztą wiadomości, co z omdlałymi czynią, by ich do życia przywrócić.

Zbliżyłem się i przykląknę. Padła była nawznak. Przypatrzeć się mogłem, że była to niewiasta osobliwszej piękności, młoda jeszcze bardzo, dziecko prawie, a strojna, jak na wesele. Na szyi sznurów pereł kilkanaście, na rękach, na głowie diamentowe spiecia, pas też szafirami i diamentami sadzony. Domysliłem się zaraz, iż być musiała albo wezyra, lub którego z synów jego żoną. Ale co tu z nią począć? Miałem we flaszcze trochę wina. Pomoczyłem jej skronie i to pomogło, że powoli do zmysłów przychodzić zaczęła. Ale z tego strachu, żalu, przerażenia zdawało się,

jakby pomieszania dostała i nie była przytomną. Uciepiła się też do mnie tak, żein już, rad nierad, przez samą ludzką litość opiekować się nią musiał. Wiercież mi panowie, że rannemu, z ciężarem takiego rodzaju, nie było łatwo dać sobie rady, a dużo przyszło wycierpieć, choć nie było za co. Szanowałem kobietę i żal mi jej było, a w obozie śmiechu i szyderstw, i wymówek, i zazdrości nie było kupić. Nazajutrz zaraz, unikając sobie i jej niesławy i wstydu, zawiozłem ją do Wiednia, gdzie mi kupca Greka, niejakiego Kallimachiego, nastęrczono, który też i po turecku miał umieć. Kallimachi był człek sędziwy, poważny, a w domu jedną tylko miał córkę, wdowę.

Zaraz, skorośmy przybyli, okazało się, że moja niewolnica nie jest Turczynką, ani niewierną, ale chrześcijanką i Greczynką, porwaną przez korsarzy, którzy ją w Stambule sprzedali Kara-Mustafie. Więc, chociażem się ofiarował odprawić ją i uwolnić, nie chciała słuchać. Kupiec Kallimachi oszacował te klejnoty, które miała na sobie, na dziesięć tysięcy czerwonych złotych, krom jednego nadzwyczajnej wielkości szmaragdu, jak dobre jaje gołębie, przedziwnej wody, na który ceny nałożyć nie umieli nawet.

Wszystko to naturalnie jej oddałem, bo stanowiło majątek jej i przyszłość. Ani mi w głowie powstało, dawszy jej wolność, aby gdzie indziej udać się miała, tylko do swego kraju, kedyby rodzinę znalazła. Zaś Kallimachi do tego łatwo jej byłby pomógł. Rozmówić mi się z nią było ciężko, choć trochę z włoska, językiem na Wschodzie pospolitym, mówiła, a jam to z łaciny potrochu też rozumiewał.

Stałem na dole u tego Greka kwaterą z moja ręką, chcąc się podleczyć, i Greczynka mi się zaraz ofiarowała opatrywać ranę. Trudno się było oprzeć, a mówiła, że ma sekreta na takie wypadki, które u nich w kraju często się trafiają. Słowem, niebożatko, sierota, im więcej ja stroniłem od niej, tem się bardziej przywiązywała do mnie. Zmiękło mi też serce dla niej, ale co począć? Żyć w grzechu nie mogłem, porzucić nie miałem siły; wypadło z tego ożenić się koniecznie, a u nas, jak wszyscy wiecie, małżeństwo niekoniecznie jest tylko dla tych dwojga, co się biorą. Ma ono swoje warunki, wymagania, prawidła, od których szlachcicowi odstąpić trudno. Żona wieśniaka i gospodarza musi być z jego plemienia, narodu, klasy, do żywota naszego przywykła i wprawiona do jego ciężarów. Najpiękniejsza Greczynka będzie nieszczęśliwa w szlacheckim dworze, a nasz brat szlachcic z nią. Cóż potem z dziećmi czynić, jeśli je Bóg da, które matka wychować musi? Ano, uczyni je obcemi nie tylko krwią, ale językiem, obyczajem, nałogiem, duszą.

Tom sobie wszystko myślał, a myślałem na-próżno. Niewiasta była piękna, dobra, łagodna, a w każdy dzień do mnie przywiązywała się więcej. Ani się rozstać, ani się zostać.

Bóg świadek, że dużo cierpieć. Myśląc, że się to da przerwać, jak skoro ręka nieco wygojona była, wyjechałem za wojskiem, porzuciwszy sierotę ową u Kallimachiego; a tu mnie owa strzała tatarska potkała i znowu zmusiła kąta szukać, aby się leczyć. Powrócić musiałem do Wiednia, a chociażem u Greka nie stanął i unikał kobiety, znalazła mnie ona i nie chciała już odstąpić. A co pła-

czu było, co lamentów i jakie się tam okazywało przywiązanie prawdziwe, trudno wyrazić. Bóg świadek, że wiele wycierpiał, póki się nie poradziłem księdza znajomego, którego tam w Wiedniu przypadkiem natrafił. Rozsłuchawszy się w całej sprawie, rzecze mi:

Duszę naprzód ratować potrzeba, i waszećnię i jej. Jeśli się już tak kochacie, bierzcie się, aby zgorzenia nie czynić. Niech kościół pobłogosławi, reszta w rękach bożych, a może wypaść nie tak źle, jak się obawiacie.

I otoż, jakem się ja z Sofją ożenił — dodał chorąży.

— Jakto, ożeniłeś się wasziność? — spytał Parczewski i my za nim.

— A cóżeście myśleli, że ja sobie panią duszkę wożę w biały dzień, na utorowisko pocziwym niewiastom? — odparł Nałęcz, wzdychając — Ano, to — rzekł po chwili — nie sztuka było się ożenić, nie sztuka żonę do domu przywieźć; sztuka teraz największa z rodziną, braćmi, krewnymi i ludźmi tak począć, aby mi ją przyjęli pocziwie i goryczy mnie i jej zażyć nie dali. O niczem braćcia nie wiedzą.

Zamilkł, pomilkliśmy i my, bo nie było w istocie z czego się śmiać, ani o czem szeroko rozprawiać.

Siedział Nałęcz u mnie, widocznie chcąc drugich przesiedzieć. Przecież się też porozchodzili, a on został. Dopiero przysiadł się na łóżko moje, podał mi rękę i rzecze:

— Słuchaj, Mroczek, ocaliłeś mi życie, jesteś człek zacny, król cię lubi, mestwem zarobiłeś sobie sławę pocziwą. Ja, com tobie siostry dać nie

chciał, pokarany zostałem od Boga tem, że sam nie po szlachecku ożenić musiał. Otóż, przychodzę ci to powiedzieć, że, jeśli Helusia trwa przy swym zamiarze, a ty masz serce ku niej, ja wam nietylko stawić przeszkody nie myślę, ale pomóc przyrzekam.

Za szyję go pochwyciłem, całując, ale ten zaraz rzecze:

-- Cicho z tem tylko, bo z braćmi moimi i ja i ty niemało jeszcze biedy mieć będziemy. Ja stąd do Wilna piszę do Heleny, aby zaraz do domu przybywała. My pojedziemy razem, reszta się złożyć musi, choćby kozłami stawali przeciw nam.

Nie wiedziałem, jak mu dziękować. Na nara-dach zeszła część nocy, a gdy mnie pożegnał chora-ży, północ wydzwanianio u Panny Marii.

Podziękowałem Bogu za niespodziewane szczęście, jakie mnie spotkało, a nazajutrz raniusieńko poszedłem na tę intencję mszy świętej wysłuchać. Wprost potem z kościoła do gospody na Kleparz szedłem. Łatwom się dopytał o Nałęczą, bo tam, dla tych plotek o Turczynce, kupa ludzi przed gospodą stała, że jej rozpedzić nie było sposobu. Znalazłem ich oboje doma, już przybranych do kościoła. Greczynka była nie naszej piękności ko-bieta, to na pierwszy rzut oka widać było, ale dziw-nie urodziwa. Płci takiej białości śnieżnej i takiej świeżości kwiatu wiosennego nie widziałem nigdy. Wyglądała, gdyby róża, tylko co rozwita i jeszcze rosą poranną oblana. Włos kruczej czerni, oczy wielkie, ciemne, lśniące dziwnie, a wszystka twarz tak złożona, iż defektu najmniejszego oko w niej dostrzec nie mogło. Przytem wyraz oblicza był bardzo miły i wdzięczny, cała postać nader

kształtna. Ale, bądź co bądź, jabym się w niej nie rozmiłował, choćby piękniejsza stokroć była. Dlaczego? Jużci nie wiem; oto może, iż naszych niewiast uroku roztumnego nie miała. Coś w niej dziecinnego było; patrzała i nie myślała; śmieszyło ją i bawiło wszystko; rwała i rzucała każdą rzecz łatwo, a śmiałość, choć niewinna, miała dziwną dla nas, snąc wychowanie odebrała do innego życia. Była podobna do wesołego ptaszka więcej niż do niewiasty, na trud i pracę przeznaczonej.

Zapoznawszy się z nią, puściłem ich kolebką do kościoła, sam zaś powróciłem na gospodę, rozmyślając, co z tego wszystkiego będzie. Że z braćmi pana chorążego z racji tej Greczynki kłopot miał być niemały, to wątpliwości żadnej nie ulegało, jako i to, że mojemu małżeństwu ze starościanką będą przeciwni. Obaj oni bracia, pan Mateusz i pan Felicjan, na tym punkcie koligacji, krwie i paranteli byli nieprzełamani. Miałem jednak po sobie teraz chorążego, który tam dla mnie miał niejaki obowiązek i sam też siebie musiał bronić; stałem więc już lepiej. Zresztą Panu Bogu ufalem. *Sit nomen Domini benedictum.*

Z Krakowa, już wcześniej o sobie oznajmując, napisał chorąży do braci, dotknawszy i tego, żem mu życie pod Wiedniem ocalił, ale nie o siostrze nie mówiąc. Napomknął też o swoich projektach małżeńskich zdala, dając do zrozumienia, iż się coś święci. Przewidując wszakże niemałe z braćmi trudności, że majątek był udzielny, *fundum* jedno, frasaował się, gdzieby żonę zawiózł, póki by z nimi nie skończył sprawy. Ale natośmy w drodze radzić inieśli.

Późną jesienią, o mrozach i grudzie, wyruszy-

liśmy nareszcie z Krakowa, ciągnąc na Lublin ku domowi. Jechaliśmy razem, a im więcej zbliżaliśmy się, ja do Wólki, a pan Nałęcz do swoich, tem smutniej nam było, bośmy zgóry wiedzieli, co nas czeka. Znał chorąży bardzo dobrze rodzinę i nie mylił się. Nimeśmy się dostali na Podlasie, już nas poprzedziły głosy o tem, co zaszło: wielu szło, jak my, powracających, którzy też niestworzone rzeczy pletli, osobiwie na owo małżeństwo Nałęcza i o żonie jego. Nie mogli bracia starszemu woli odebrać, ale larum ogromne uczynili między swymi przeciwko małżeństwu, zaklinając się, że z bratem, który jakąś niewolnicę pojął, nigdy do stołu nie siędą, a obrusy przed nim porzeżą. Doszło ich i to, że ze mną jechał, że na moje ożenienie się zgadzał; a bodaj, czy ich to gorzej od pierwszego nie zabolalo. Woleliby byli, aby siostra w klasztorze pozostała, a majątek na nich przypadł, miarkując, że, gdyby brat mi nie pomagał, możeby się na tem skończyło.

Myśmy, ciągnąc ku domowi, wcale o tem nie wiedzieli, ale podróż była smutna i — gdyby jej wesołość chorążyny, która, jak dziecko, bawiła się lada czem, nie ożywiała — obu nam małoby się na łzy nie zbierało...

W Lublinie stanęliśmy gospodą przy Grodzkiej ulicy, a że na wozach pełno było tureckich zdobyczy, namioty widne, buńczuki w miechach i t. p., więc ludu się dosyć za nami cisnęło, aby nas oglądać. Ledwieśmy się wtoczyli w dziedziniec, kazawszy bramę zamknąć, słyszymy, dobija się ktoś. Skoczę z woza, widzę... szlachcic. Poznałem go zaraz, że był od Nałęczów, bo widywałem go często u nich. Zwał się Marszewski, a myśmy go tam

Bielem przezywali, że był zajadły i przebiegły, jak mało ludzi. Nie wiedzieć skąd się jeszcze za ojca Nałęczów przybłąkał do nich, i tam się tak dobrze zasiedział i jak kleszcz wpił, że już bez niego w niczem się nie obeszlł. Człek był już cał niemłody, szpak, ale krzepki, facjata pokiereszowana od szabel, u rąk kilka palców brakło i na jedno oko niespełna widział, bo mu je gdzieś przytłoczono w bójce. Nie chciałem mu zrazu otworzyć, ale furtkę sobą poparł i weisnął mi się do gospody niemal nagwałt, pytając o chorążego. Ten był żonę poprowadził do izby; chciał za nim Bies podać, ale go pohamował, że chorąży doń zejdzie. Stał tedy, rozpatrując się a wasa muszcząc.

— Coś widzę, waszmość razem i w dobrej komitywie. Powinszować, powinszować! — rzecze. Ja mu na to:

— Lepsza zawsze zgoda, ładajaka nawet, od najpiękniejszego swaru: a myśmy i nielada jaką zawarli, bo krewia nasz sojusz na placu boju pieczętując.

On na to nic. Posłałem Grzesia po chorążego: zszedł, a jak tylko Biesa zobaczył, twarz mu zapłonęła cała; zrozumiał, że przystany od braci. Nuż się witać. Ten mu do kolan, a rozczuła się, że go całym i zdrowym widzi. Chorąży na to:

— Podziękujcie za to panu Mroczkowi! Gdyby nie on, byłbym pod Wiedniem w kurlanie z innymi piasek gryzł.

Na dole była stancja dla mnie, więc tam weszli. Ja przy wozach jeszcze pozostałem, bo mi o Pyladesa szło, aby go przy ładajakim złobie nie postavili, w nieczystym miejscu, z czego często na konie przypada nieszczęście. Zaje-

dzie kto z chorą szkapą, zapługawi miejsce, to potem ani się opatrzysz, jak biedy napytasz.

Wracając od stajni, słyszę głosy w izbie rozlegające się: gadają żywo bardzo; ale, gdy ja na próg, umilkli. Nie zważałem na to. Bies począł o wyprawę pytać, a o domu rozpowiadać. Chorąży po miód posłał, i dalej już o wiedeńskiej potrzebie, a o nas nie. Myślę sobie: „leszcze lepiej!” Gdyśmy się nagadali, Natęcz za czapkę wziął i razem z Biesem wyszedł. Nie pytałem, gdzie i poco.

W dobrą godzinę wrócił, ale mocno zadumany. Przypadłem do niego i pytam, co słyhać, jakie wieści z domu, ale go znalazł milczącym. Wykrecał mi się tem i owem, ale między nami jakby kto mur postawił; jużemy nie ci byli, co wczoraj. Bies swoje zrobił...

Poczułem, że coś jest, nie domyślając się wszakże, coby to być mogło. Zajechałem z jednej, z drugiej strony, względem powrotu braci; widzę, mydli chorąży, płacze się, odpowiada mi trzy po trzy. Dałem tedy pokój...

Kiedyśmy już mieli iść spać, zszedł do mnie na dół i, usiadłszy przy oknie, rzecze:

— Dobrzebyście zrobili, panie Janie, żebyście jechali przodem do domu sami, a ja za wami podążę. A no, nie przystało jakoś razem nam się tam jawić. Ja tu muszę pobyć, a potem...

Jużem mu więcej mówić nie dał. Zmiarkowałem, iż jest coś; a że nikomu i za nic narzucać się nie zwykłem, tknęło mnie to i odpowiedziałem zaraz:

— Jutro jadę.

Zmiarkowałem, iż go to zabolalo, gdy urazy się domyślił. Począł do mnie czule: jako nigdy

nie zapomni, iż mi życie winien; jak pragnie, abym mu przyjacielem dożgonnym był; w jak trudnem z familją jest położeniu, i że reszta czasowi by zostawić potrzeba.

Domyślałem się, czyja to była sprawa, i że mnie tu sprzedano; ale słowa nie pisał, ani żalu po sobie nie okazał. Postrzegłszy, jako z tej wielkiej przyjaźni zeszedłszy odrazu na inne pole, postanowiłem wcale się nie upokarzać i nie modlić: co Bóg da, to da...

I tak rozstaliśmy się. Kiedy już Natęż odchodził, rzeknę mu:

— Bywajcież mi zdrowi, bo dodnia dalej ruszę...

— Ale co się tak śpieszycie? — wybąknął.

— Komu w drogę, temu czas — powiedziałem.
— Jużbym też spocząć rad.

Dopiero gdy odszedł, buchnęło ze mnie żalem i gniewem, i, jeślibym tak starym nie był, pewniebym płakał; ale, Bogu utrapienie ofiarując, zaciśnąłem usta, postanowiwszy o pierwszym brzasku gospodę opuścić. Przywołałem Grzesia: zdziwił się, ale mu gadać nie dałem, tylko rzekłem, aby mi na zaraniu było wszystko gotowe. Samem się i spać nie kładł, tylko przesiedziałem pod oknem. Około trzeciej z północy zszedłem, aby koniom obroku dano, ale już znalazłem chłopca na nogach.

Słońce wschodziło, gdy wóz mój na progu stuknął i miałem wyruszyć; aż dziewczyna zgóry zbiega i hamuje, prosząc od chorążyny, abym chwilę tylko poczekał, bo się pożegnać chce koniecznie. Trzeba wiedzieć, że to Greczynka w ciągu podróży naszej i w Krakowie bardzo na mnie łaskawa była, okazując mi przyjaźń wielką. Wyu-

czyła się już była tyle po polsku, że się z nią mogliśmy rozmówić.

W tejże chwili patrzę, zeszła ze wschodów i pyta, cała biała: co się stało i czego ja odjeżdżam? Zawahałem się: co mówić i czy się jej tłumaczyć? Ale z oczu postrzegłem, że napół wie, a pyta tylko, aby się utwierdziła. Nie potrzebowałem kłamać, więc mówię jej:

— Moja inościa dobrodziejko, chorągiewkę wiatr obrócił. Jestem wam niepotrzebny; jadę prosto do domu. Bies te rzeczy tak nastroił.

— Słuchajże — odpowiedziała żywo — nie myśl źle o mnie; ja naprawię, co on popsuł, tylko mi czas dajcie! Choraży bodaj to dla mnie uczynił, a ja cudzego szczęścia ofiarą swojego okupować nie chcę. Nie byłoby dla nas błogosławieństwa bożego.

Łzy miała na powiekach, kiedy dodała jeszcze:

— Bądźcie spokojni, bądźcie spokojni!...

Takeśmy się rozstali.

Niewesoły teraz był mój powrót do domu. gdyin z wielkich nadziei spadł znowu na dawną niepewność. Drugiego dnia, pod wieczór, z za łasku pokazała mi się owa Wólka moja; pobłogosławiłem ją krzyżem świętym i łzy miałem na oczach. Im bliżej bramy, tem się serce w piersi dobijało mocniej.

Jakim cudem się stało, że pana Jacka znalazłem, chociaż on o moim powrocie nie myślał, a ja mu znać o dniu nie dałem, tego nie wytłumaczę. Zdaleka już stojącego we wrotach z różańcem poznałem. Zlałem z wozu o kuli, i rzuciliśmy się sobie w objęcia, słowa nie mówiąc.

Jakem w domu znalazł, gdzie ten prawdziwy

przyjaciół gospodarzył, nie wypowiem. Lepiejbym pewnie sam nie zarządził. Dopieroż przy ogniu w kominie na całą noc nieprzegadana materia... ledwie ze dniem trochę się oczu zirużyło.

Jeliśmy się rozpakowywać, bom też chciał przed przyjacielem pochwalić się ze zdobyczą, krom tej, jaką sam dostałem, wiele mając różności, po drodze od wracających za łada co nabytych. Turecka kulbakę ze srebrnymi strzemionami i całym rzędem turkusami sadzonym, a wcale pięknym, ofiarowałem przyjacielowi. Brac nie chciał, alem go, ukląkszy, prosił, więc musiał. Uważałem, że z szabel jedna mu w oko wpadła, ale noża i ostrza żadnego bratu dawać się nie godzi: wynogłem od niego, że mi za nią talara zapłacił i wziął, bo do siodła pod udo, starym obyczajem, pasowała. Dopieroż, gdym mu trzosa zdobywał, ów diamentowy pas i inne kosztowności, za głowę się chwycił, Panu Bogu dziękując.

— Tylko mi tych pieniędzy na prowizję nie dawaj nikomu — rzekł — ziemię kupować trzeba! Wólka mała, a szlachcic, aby dobrze stał, musi szeroko siedzieć. Jest w okolicy Ryżawka na sprzedaż po wdowie Ryżawskiej, bo wnuki tu mieszkać nie chcą, a gdzieś indziej dobra większe mają: kupimy Ryżawkę!

— Nic przeciwko temu nie mam; kupujemy Ryżawkę... ale, co z tego wszystkiego, jeśli starościankę mi wychwyca?

— Pojedziemy do podczaszyny — rzekł pan Jacek — a toć jej się i tak należy pokłonić. Staruszka do rady dobra, i waszmości sprzyja. Ilem tam razy był, zawsze mnie tam spotykała: —

„A cóż nasz Mroczek? A miał ci tam waszność wiadomość? A nie zostanie kaleką?”

Wiec tego dnia zpołudnia postanowiliśmy jechać do niej. Chciałem też z wyprawy gościnka przywieźć staruszce; ale trudno było wybrać. Pas ów djamentowy dobrej wioski był wart, jak się okazało; anim ja go mógł dać, aniby ona chciała wziąć; więc, rozpatrzywszy się, wzięliśmy różaniec kamienny, bardzo pięknej roboty, znaleziony w moim namiocie. Może się kto podziwić, że u Turka się to trafiło, ale to pewna, że i oni na takich różańcach się zabawiają, i mało który go nie ma. Czy się tam po swojemu z różańcem do Mahometa przymilają, czy do jakiej innej służy praktyki, tego nie wiem.

Przekąsiwszy doma, co Bóg dał, wzięliśmy półkrytek pana Jacka, bo mi jeszcze na koniu jeździć było trudno, i ruszyliśmy do staruszki. Wielka radość była, gdy mnie tam poznano. Siedziała podczaszyna w swoim gabinecie nad listami, kiedy jej o nas oznajmiono; ale zaraz do sali wyszła. Zobaczywszy mnie o kuli i kij, bom jeszcze ich używać musiał, o mało się nie rozpłakała, a posadziwszy, kazała sobie rozpowiadać wszystko. Stało tego do wieczoru. Przyszliśmy do ratowania Nalecza, do jego obietnic i do podróży z nim aż do Lublina; nie było co tać. I ona też zmiarkowała, że mnie sprzedano, ale radziła czekać i nie gwałtować, ale powrotu starościanki z Wilna i jej postanowienia patrzeć. Chorażego z żoną jeszcze, jak powiadała, nie było, ale na niego już oczekiwano, a skoro przybedzie, postanowiono majątności rozdzielić. Już była pierwsza determinacja panów braci wydania panny Heleny za Staduickie-

go spelzła na niczem, bo się ów ożenił z Ossolińską. Teraz miano na widoku, jak się okazywało, jakiegoś Kossakowskiego, który ofiarował się kwitować z posagu, a oprawę zapisać na majątnościach. Obiecował też panom braciom złote góry, bo był stary kobieciarz i młodej żony mu się chciało, choć sam przeszło lat sześćdziesiąt liczył i dwa razy owdowiał, ale bezdzietny. Bardzo im było na rękę sumę posagową chwycić, zwłaszcza, że się nadtracili znacznie i coś tam kręto było około nich.

— Cierpliwości — mówiła podczaszyna — a wytrwania: resztę da Pan Bóg!

Uradowała się też z tego, gdyśmy jej powiedzieli, jak mnie Bóg pobłogosławił w tej wyprawie, i że mogłem Ryżawkę kupić, a może jeszcze co do niej.

Nazajutrz pojechałem do proboszcza, nie zapominając z jakim sercem obcego mnie tu przyjął, gdym po śmierci stryja na objęcie Wólki bez grosza przy duszy przybył. Starowina znów rozpowiadać zaczął, a nie było temu końca.

Pan Jacek, nie tracąc czasu, sam do Ryżawskich pojechał, lecz wrócił z niczem, bo cenę mu zaśpiewali okrutną, i jeszcze rok sobie wymawiali trzymania wioski. Ale w kilka dni przybył do mnie młodszy Ryżawski i sam zaczął. Powiedziałem, że nie dam, ino to, co im ofiarowałem, i natychmiast posesję obejmować muszę.

Z tem odjechał. Aż wkrótce — jakoś dni parę minęło — przybywa Jacek pocziwy, i, na progu ściskając mnie, winszuje, jako dziedzicowi Ryżawki. Plasek i Surowina (szło to wszystko troje razem).

Ja się patrze na niego, nic nie wiedząc, a ten mi nato:

— Dobywaj trzosów i każ przynieść czem zalać sprawę, bo to na sucho ci pójść nie może! Ryżawscy jadą z regentem; za godzinę będą tutaj, i rzecz skończona.

— A posesję kiedy obejmuję? — spytałem.

— Od Św. Wojciecha, inaczej nie było można. Uściskaliśmy się.

Tegoż dnia wyliczyliśmy pieniądze i tranzakcje spisali.

Tak tedy, przy pomocy bożej, już nie na małej Wólce, ale na dobrym szlacheckim majątku o czterech wsiach zasiadłem, a co gorsza, albo lepsza, z Ryżawką pod sam bok wlażłem Nałęczom na sąsiada, bo się nasze pola stykały. Jużem wiedział, że chorąży z ową Greczynką przybył do domu, i że go tam bracia, kręcąc nosami na bratową, przyjęli, ale połajawszy. Do mnie się był dotąd chorąży wcale nie zgłosił, a jam milczał, bo mi nie wypadało się nastęczać.

Gruchnęło tedy, żem Ryżawkę kupił; winszują wszyscy. Kupno było niezłe, ale majątek po staruszce, która niby to sama gospodarowała, a rzeczywiście urzędnicy i faworyci, tak opuszczony i wyniszczony, że fraszka to, co w Wólce zastałem. Gdym oglądał, aż mi się zimno zrobiło: ale myślałem to zawsze: „Co człek popsuł, to i naprawić może”. Posłałem tylko zaraz od siebie na straż Gawrońskiego, żeby mi doreszty płotów nie popałowali i strzechy nie powysmykiwali.

Winszują wszyscy; zeszliśmy się na probostwie z Nałęczami, oprócz chorążego, który nie-

domagał. Ci winszują także, ale zpodobna na mnie patrzą. Ja nie.

Tymczasem i król był z owej ciężkiej wyprawy swej do Jaworowa, jak mi mówiono, powrócił. Mnie noga wydobrzała, żem już o kijku tylko mógł chodzić, a starościanka nie wracała. Postanowiłem więc pojechać i pokłonić się królowi jegomości. *Dictum, factum*. Zima była tego roku dobra, i sanna się ugruntowała doskonale; wzięwszy tedy wozik na płozy, ruszyłem, zdawszy gospodarstwo na pana Jacka.

Nie miałem w drodze żadnego wypadku, prócz, że mi kilimek turecki, bardzo ładny, na noclegu skradziono z winy Grzesia, który miał sen twardy.

Przybywszy do Jaworowa, a zobaczywszy tylu znajomych i przyjaciół, aż się dusza rozweseliła. Choć mi było smutno w sercu, musiało się to rozejść.

Nazajutrz rano poszedłem do króla, który już o mnie wiedział. Jak ujrzał, położył mi obie ręce na ramionach i mówi:

— A co, panie Mroczek, wszyscyśmy to dobrze pono wyszli na wiedeńskiej! Gdyby nie to, że się ratowało Krzyż Pański, przychodziłoby żałować, żeśmy się tak w pomoc Nieniaszkom śpieszyli. Hej! hej! mospanie, waćpan cięty, ja okiereszowany, ludzi tylu zacnych głowami nałożyło... A toż nas potem zbywali się, jak nieprzyjaciół, i pomagali Turkom nas uiszczyć. Ale, co się stało, to dla imienia chrześcijańskiego i dosyć... Cóż wasze?

Ja dopiero, ścisnąwszy kolana pańskie, począłem o swej biedzie. Król się odwrócił do stołu i począł w papierach szukać.

— Mała to już rzecz — rzekł, podając mi kartę — ale ot, dla waści pamiątka. Nie przejesz się tym chlebem, ale zawsze ci się kasek należał z *panis bene merentium*.

Nie wiedziałem, co to ma znaczyć... Król się uśmiechnął, klepiąc mnie po ramieniu.

— Aniś prosił, aniś myślał; alem ja o waści nie zapomniał. Było tam starostweczko nad Bugiem. Myślę sobie: „Jak tam Mroczka posadzę, to mi będzie węgorze łowił i przyśle na post“.

Znowu ja do kolan, prawie ze łzami, a król nato:

— Dość, dość! A cóż tam z waścią bogdan-
ką? Jak Nałęczu? He?

Wszystko mu było wiadome; a jak podżyłym dobrze był i już nie do miłostek, tak w królowej kochał się wiekuście, niby wczoraj po ślubie, i drugich rad widział w amoracli wiernych. Nic mu miłszego nie było nad to, gdy słyszał, że kto uczciwie i statecznie do niewiasty się przywiązał.

Powiedziałem, jak rzeczy stoją, że Nałęczu ani słuchać o mnie nie chcą.

— Jedź-no waszeć do domu — rzekł — i siedź cicho. Z Kossakowskim ja pogadam, żeby ci w drogę nie laźł, a chorażemu uszu natrę.

Bawiłem w Jaworowie dni kilka, a to moje starostwo oblewać musiałem. Niewielka to w istocie była rzecz, piaski a błoto; ale zawsze na coś się przydało i było oznaką łaski pańskiej, co więcej znaczy nad wszystko.

Zboczyłem z drogi, wracając na Warszawę i na Mazury umyślnie, by tam dalekich krewnych obaczyć, których tylko z odgłosu znałem. Radzi mi też byli, jak nie mogłem lepiej, i musiałem z ni-

mi trzy tygodnie jeździć od komina do komina, a pić i wczasu zażywać, choć do domu korciło.

Tu mnie gwałtownie nacisnęli, żeby koniecznie u nich się żenić z powinowatą. Wynaleźli zaraz, nic mi nie mówiąc nawet, pannę skarbnikównę Tekle Zarzycką, która była jedynaczką u ojca i dziedziczyła po nim ślicznych parę wsi, a gospodarstwo zasobne. Panna też była miła bardzo, postawna, młoda, rezolutna i dosyć dobrem okiem na mnie patrzała; alem im zaraz oświadczył, żem zaręczony i do grobowej deski nie złamię wiary Helusi, czego mi za złe nie wzięli, ale stękali bardzo, że się nie udało, bo i Zarzycki był za tem, a stary potrzebował wyłączenia i zięcia mu się nagwałt chciało, żeby gospodarstwo nie podupadło.

Przeprowadzili mnie Mroczkowie i inni powinowaci mił sześć na gościniec, gdzieśmy jeszcze we dworze u znajomych trzy dni zapustowali ochoczo; poczem już do domu pilno mi było, bo m dawnu wiadomości nie miał.

Wprost zajechałem do pana Jacka. Tu, pod moją niebytność, bieda zawitała niemała. Odprawiając gości na ganek po wieczerzy w wielkie zimno, tknięty był nieborak paraliżem. Zastałem go w łóżku; mowę miał ciężką, jedną rękę i nogę odjętą. Odeślałem wóz do domu, a samem przy nim został, boć go należało pilnować. Zarazem spostrzegł po twarzy i minie, że źle koło starego musi być. Była już i bratowa, i synowiec, i staranie wszelkie; ale nanic się to nie przydało.

Dawał mu cyrulik raz wraz na transpiracje i nie wiem, czy nie zaszkodził gwałtownemi lekarstwami, bo z tego przyszło, że go apopleksja razila i do drugiego dnia nie żył.

Rodzonegobym ojca nie oplakiwał więcej, i, jak rodzonego, chowałem, sam mu ostatnią oddając posługę i ostatnie pożegnania słowo wyrzekłszy, choć publicznie mówić niebardzom lubiał, drugim to zostawiając.

Było u nas zawsze na to ochotnika dosyć, alem się ja nie kochał w oracjach, które cudze pióro pisze i za butel winą się z pod rewerendy dobywa, albo z książki kedyś wylata. Nie smakowali też może w mojej pogrzebowej mowie przytomni, bom się na koncepta nie sadził i od serca tylko przyjaciela pożegnał.

Splakany, wróciłem do domu, gdzie mi teraz było samotniej, niż kiedy. Zarazem też pojechał do podczaszyny, bo mi dała znać, że się ma ze mną rozmówić. A że dni parę ubiegło, nim się na zawołanie stawilem. z rana się oznajmiłem, że tego dnia u niej będę, czy nie przeszkodzę. Były bowiem u niej takie nabożeństwa i aniwersarze, że nikogo nie przyjmowała. W godzinę wiedzieć mi dała, że czeka na piątkowy kapuśniak.

Przybyłem bardzo smutny, bom tego pocziwego przyjaciela na sercu miał jeszcze utraconego. Spostrzegła to staruszka, a kazała mi sobie opowiadać o wszystkim, o Ryżawce, o Jaworowie, o starostwie nad Bugiem i t. p. Gdy mi winszowała, rzekłem:

— Pani dobrodziejko! Wszystkobym to oddał z dodatkiem, byle pragnienia serca mojego do skutku Bóg doprowadzić raczył.

Ona mi na to:

— Mości starosto, nie razem Kraków zbudowany. Czekajcie. i to przyjąć może.

Siedliśmy do stołu, i już się obiad kończył, gdy

zajechała kolebka i dali znać, że chorąży z żoną przybył.

Od rozstania się naszego w Lublinie wcalem się z nim nie widział, chyba zdaleka w kościele. Owe obietnice jego wielkie poszły w niepamięć; owa dozogonna przyjaźń jakby nigdy nie istniała.

Przykro mi się zrobiło, że go tu spotkał; wszakże uciekać nie wypadało. Musiałem zostać, zwłaszcza, że podczaszyna spojrzawszy na mnie, uśmiechnęła się. Wyszliśmy do sali.

Witamy się uprzejmie. Greczynka przychodzi do mnie wesoło, a gdym ją w rękę całował, ścisnęła mnie, jakby dając do zrozumienia, że o sprawie mojej nie zapomniła. Po dobrej chwili, chorąży zbliżył się do mnie i bierze do okna.

— Bracie — rzecze, ściskając — daruj i nie pamiętaj! Robiłem, co mogłem, by tych zapamiętałców przekonać; ale z nimi rady niema. Mają do waści niejedną urazę, a może też i to, żeś mnie życie ocalił, bo i ja u nich łaski mam niewiele. Trzeba na to radzić inaczej.

Spojrzałem mu w oczy.

— Helusia powraca — rzekł — posłano po nią, pojechał Bies z ludźmi. Za dni kilka będą z nią nazad, a jeśli tu przyjdzie, nastaną na nią i gotowi dla Kossakowskiego gwałt popełnić, by wiana nie dawać.

— Jeśli o wiano idzie — rzekłem — a starościanka zgodzi się, jużci go też nie szukam, ani się dla niego żenie. Ustąpię i ja.

— Nie o to idzie — odpowiedział chorąży — przynajmniej nie mnie. Niech każdy ma, co mu przeznaczono, cudzego nie pragnę; ale z braćmi, którzy się na was zacięli, rady sobie nie dacie.

Jedno wam tedy mogę dać *consilium*: jedźcie z przyjaciółmi; napotkacie kawalkatę w drodze; potrzeba starościankę odbić, księdza znaleźć, ślub wziąć, a resztę ja zagodzę. Ale — dodał — na miłość bożą, mnie do tego nie mieszajcie... niech ja zostanę, jakbym nie wiedział o niczem.

Stanałem słupem; nie podobano mi się to wcale, żebym, jak rozbójnik, żonę na gościńcu zdobywał.

Odparłem mu tedy, że to tak dla sławy ich domu i imienia, a potem mojego też nie uchodzi. Ale mi zaraz począł przywodzić podobne przypadki, jak Mniszek z klasztoru sobie żonę wyłamał, gdy mu jej rodzina dać się wzbraniała, jak ten i ów oreźnie zdobywali panny, i że w tem nie tak złego niema. Nareszcie rzecze:

— Wszystko to do tego przygotowane. Helusia nawet, o ile miarkować mogę, i osoba tak poważna, jak podczaszyna, tego nie gani, bo innego sposobu niema. Nie przeciwko władzy rodzicielskiej to bunt, ale przeciwko niesłusznej opresji rodziny, która nieszczęścia jej może być przyczyną... Trzeba, żebyś waszmość jechał zaraz, wszystko przysposobił, na drodze zasiadł, a dobrych sobie wziął rębaczy, bo z Biesem do czynienia mieć będziecie. I to dodaje: żeby ślub zaraz był, nim bracia się dowiedzą, żeby klamka zapadła, nim oni się porwą przeciwko waści. Ale jeszcze raz, na rany Chrystusowe, jam o niczem nie wiedział... o niczem wiedzieć nie chcę... cicho!...

Odszedł zaraz od okna i poczęła się inna rozmowa. Greczynka chwalić się jeła, że po polsku ją wyuczyli, a spoglądając na mnie, znaki mi dawała, że o wszystkim wie. Mnie się to jakoś dziwnie zawsze zdawało, żonę tak zdobywać, ale co

miałem robić? Przesiedziałem ich u podczaszyny, aż, gdy odjechali, zwierzyłem się jej ze wszystkiego, prosząc o mądrą radę.

Starnuszka popatrzała mi w oczy.

— Zaczny z waćpana człowiek --- odezwała się --- że ci gwałt wszelki jest obmierzły; ale są wypadki, w których i do ostatnich środków uciec się trzeba, gdy o przyszłość osoby drogiej idzie. Podobno chorąży to jedno radzi, co rzecz najlepiej załatwi.

Postrzegłem tedy, że inaczej być nie może. a raz na to się zdeterminowawszy, nie miałem co czekać. Pojechałem tejże nocy do Zegrzdy.

Była miła okrutna; noc śnieżna, zawieja, godzina spóźniona. Ledwieśmy się do dworu dobili, a tu we wrotach nawiało kupę taką, że ani wejść. Musiałem pieszo się przedzierać; psy opadły, że ledwie kożucha nie postradał, alem do okiennicy zastukał, wiedząc, gdzie sypia. Pozrywało się wszystko, bo tylko co byli usnęli, i myśleli, że albo złodzieje, lub przypadek jaki. Zegrzda z szablą w ganek wypadł; ledwie go uspokoił. Począł się śmiać, gdy muie poznał, i weszliśmy z nim do izby. Dorozumiał się zaraz, że muszę mieć sprawę ważną. W dwóch słowach rozprawił się; ale z tym poczcwićcem dobrze było bić się, tylko mędrkować niekoniecznie, bo do przebiegów i sztuk się nie zdał.

Z tego, co mi chorąży mówił, uważałem już, że chwili nie było do stracenia, a raz odważywszy się na przedsięwzięcie, chodziłem, jak w gorączce, by je przyprowadzić do skutku.

Zegrzda, powstawszy, powiada:

— Kochanie mileńki (miał to przysłowie). ja

ci szablę i dłoń ofiaruję, ale nie potrafię tego urządzić; na to nam Grabowskiego wziąć potrzeba... Każe konie zaprząć: jedźmy do niego!...

Gadamy tak, a tu do drzwi pukanie, bośmy kobiety pobudzili i popłoch poszedł: czegom przybył i czy gardłu jegomości co nie grozi? Weszła sama jejmość w nocnym stroju, dopytując. Zegrzda począł kłamać okrutnie o jakichś wilkach, pocałował żonę, polewki cieplej przygrzać kazał, latarkę dał do stajni, i w godzinę byliśmy znowu na gościńcu.

Zpółnocy, o drugich kurach stanęliśmy u Grabowskiego, ale baliśmy się przestraszyć matkę staruszkę, i zajechaliśmy na folwark. Zbudziłem ekonoma; a że się Grabowski o woły karimne troszczył i nocą do nich budzić kazał, powiedzieliśmy mu, by, nic nie mówiąc, niby dla wołu chorego, jegomości tu przywiódł.

W ćwierć godziny słyszę, chłapie się Grabowski w butach z futrem, a klnie ekonoma, co wlezie, za tego wołu, cośmy go zinwentowali sami. Gdy, do izby wszedłszy, zobaczył mnie z Zegrzdą, grzejących się u komina, oszołomiał i stanął, jak słup, nie wiedząc, co to znaczy. Dopieroż my w śmiech z niego, i, do alkierza go wzięwszy, począłem rzecz opowiadać.

Ale z Grabowskim wiele gadać nie było potrzeba, bo człek domyślny i na wszystkie sztuki noszony... Tylkom napomknął, w to mu graj: pochwyć mnie ścisnąć, mało nie nosić na rękach.

— Niech ci Bóg płaci — woła — że mi takie dajesz zajęcie! A toć rok już awantury żadnej nie miałem... aż mi się życie przykrzyć zaczęło.

I cośmy mieli jego uczyć, to on już wziął

wszystko na swoje barki. Domyślił się, kędy jechać mają, obliczył i wybrał, kogośmy z sobą wziąć powinni, wyznaczył konie, ludzi, miejsce...

Tak te rzeczy dobrze znał, że, od Wilna począwszy, na palcach wiedział noclegi, popasy, gdzie stanąć musieli i jak drogę rozłożyć. Miarkował i to, że wielkiej sity z sobą Bies ciągnąć nie mógł, bo się niczego nie spodziewał; więc ze trzema lub czterema mogliśmy mieć do czynienia. a Grabowski swojej szlachty drobnej, jak nazywał. szabel usłużnych, sejmikowych, co nie pytali nigdy za co i na kogo szli, a oślep rąbali, kogo im pokazano, miał sam choćby dziesiętek. W dodatku byłem ja i Zegrzda. Mieliśmy więc sity poddołstatkiem.

Pchnął więc Sydora swojego Grabowski, pod pozorem sejmików, by szlachta na południe się stawiała, a mnie kazał do domu jechać i z saniami, ludźmi, końmi, co było potrzeba, powracać.

Mieliśmy zasiąść na gościńcu wileńskim w Zahorzanach, gdzie był proboszcz znajomy, nawet podobno Grabowskiego daleki krewny po matce. Stała tam gospoda, której Bies ^{nie}ciągnąć nie mógł. Myśmy się mieli rozsiaść we dworze u dzierżawcy, a czaty postawić po drodze wzdłuż ku Wilnu na mil kilka, aby nam o przybywaniu znać dawały, wyprzedzając starościankę. Dobraliśmy konie pod tę straż takie racze i młode, żeby się ubiec nie dały, a choćby który padł, bierz go lichu.

Szło tylko o to, czy starościanka z Wilna wyjedzie rano, czy zpołudnia, gdyż od tego zależało, wedle rachuby Grabowskiego, czy na popas, czy na nocleg miała być w Zahorzanach.

Jam sądził, że, ponieważ z klasztoru wyjeżdża-

ła, pewnie nie inaczej niż po nabożeństwie, zatem nie tak rano; Grabowski twierdził, iż Bies, ze strachu, aby w pobliżu wielkiego miasta nie nocować, gdzie się zwykły lotry włóczyć, wyruszy dodnia. Woleliśmy wieczór niż południe do tej sprawy, bo gospoda stała pośrodku mieściny, w rynku; na tumult zbiegliby się ludzie: krzyk, hałas, i rzecz nie-miała być na oczach motłochu, gdzie o kobietę chodzi. Ale, bądź co bądź, musieliśmy tu na nich czatować i rychło jechać.

Nazajutrz wszyscyśmy byli w pogotowiu. Szlachta pojedynczo powymykiwała się przodem i miała stać po żydowskich domach w rynku, nie razem, a na dany sygnał, trzykrotne huknięcie, zbiec się ku nam. Warty poszły gościńcem na wyznaczone miejsce; my pojechaliśmy do dworu, do dzierżawcy; Grabowski osobno do księdza.

Szczeńciem sanna była doskonała, śniegu przysypało w polu, koniśmy nie żalowali i o zachodzie słońca stanęliśmy w Zahorzanach.

Pierwsza rzecz: posłałem do gospody, pytać, czy przejeżdżają. Żyd wymienił podróżnych, jacy tam stali od dni kilku, ale o starościance nie wiedział. Znał konie i ludzi, byliby ich poznał i pamiętał.

Dobra tedy nasza. Rozgościliśmy się u dzierżawcy, a był szlachcic serdeczny i gościnny na podziw. To też, choć ogromnie zarabiał, nic nie zebrał. Będąc w przyjaźni z Grabowskim, a z Ze-grzdą w koligacji, nie znalazł dla nas miejsca, tak ugościć pragnął. Nic mu się nie mówiło, o co idzie, chociaż musiał czegoś się domyślać.

Przenocowaliśmy u niego. Grabowski z pro-

bostwa przyszedł na wieczerzę i szepcze mi w ucho:

— Książd nasz! Ślub będzie, wszystko w pogotowiu... byle paunę nam odbić.

Podług naszej rachuby, albo nazajutrz w południe albo na wieczór powinni byli nadciągnąć, a przed nimi, co najmniej na godzinę, straż nam wiadomość dać musi...

Ale, jak to zwykle się trafia, wypadło nam jak najniefortunniej. Było na gościńcu trzech wartowników: jeden się spił, drugi zasnął, trzeciemu koń zachorzał. Spokojni więc, siedzimy sobie u dzierżawcy, bynajmniej nie gotowi, i to jeszcze zaledwie południa, gdy z gospody Żydek leci do dworu i oznajmuje, że starościanka przyjechała, a skoro konie wytchną i przegryzą, zaraz pośpieszy dalej. Zerwaliśmy się, głowy potraciwszy, oprócz jednego Grabowskiego, który, jakby go zimną wodą oblał, wnet się opamiętał, szablę do pasa, ludzi rozesał — i na miasteczko z nami.

Zajezdny dom stał w rynku samym, z dwóch stron przyparty ścianami do innych kłetek żydowskich, od przodu tylko i z tyłu przystępny. Sanie jedne i drugie były przed gospodą, ale konie powyprzegane, ludzie się porozłazili, starościanka weszła ogrzać się nieco, a Bies kazał sobie dać wódki. Widać było, że się w biały dzień niczego nie spodziewali. Grabowski, jak to zobaczył, prosi i modli się:

— Dajcie mi samemu iść, a jak was zapotrzebuję, hukne!

We mnie się serce tłukło, jak młotem, alem mu ustąpić musiał. Później mi opowiadał, jak sobie poczał. Wszedł do gospody przez stajnię i wprost

wkroczył do tej izby, gdzie była starościanka. Bies miał na to oko, żeby nikt nie wchodził, poczał więc nań wołać:

— A poco tam?... Kobiety są!

— Toć ich nie zjem — odparł Grabowski, i wszedł — ale tylko znak dał starościance, a już Bies za nim wszedł. Znali się dawniej, przywitali... Ciągnie go rębacz do drugiej izby, prosząc, aby spoczynku nie przerywał paniom. Ze starościanką była staruszka, jej ochmistrzyni, i dziewczynka do posługi.

Grabowski, już upewniony, że rady sobie dać może, siadł na ławie spokojnie i kazał sobie dać miodu szklanke.

— Wiesz, rzecze do Biesa, jaki oni tu stary lipczyk mają, tom jeszcze takiego nigdzie nie pił, choć i sławnego kowieńskiego próbowałem, i lubelskie miody znam. Co ty tam tę śmierdziuchę wódkę pijesz? Napilbyś się oto tego nektaru.

— No, no, nektar — rzekł Bies — ale po nim sen człowieka napada, a w drodze spać stróżowi niebezpiecznie.

— Choćbyś się zdrzemnął — rzecze na to Grabowski — toć już tu nic ci się nie stanie; u nas o rozbojach nie słyhać, a przed wieczorem w domu będziecie. Ja wasze konie znam: klusa mają takiego, jak tu żadne. Ale winszuję waszeci, żeś tę wileńską drogę i lasy cało przebył, bo tamto często bywają przypadki.

Bies się uśmiechnął:

— Ja się żadnych nie obawiam.

— A dużo masz ludzi? spytał Grabowski.

— Jest nas sześciu ze mną, tobyśmy się dwunastu nie dali..

— A trzynastu? — pyta Grabowski.

— No, nie zlekibyśmy się jeszcze.

— A piętnastu?

— Kto wie? Broniąc się, tobym się im nie dał...

— Tobo to ciekawa rzecz była spróbować — rzekł Grabowski, dopijając. — Chcesz, chodźmy o zakład!

Bies się poczał śmiać.

— Ale ja nie żartuję — zawołał Grabowski. — Chcesz, o co? Zakładam się...

— A skąd waść ludzi weźmiesz?

— Ja? Alboż to waść nie wiesz? Ja tu w każdym miasteczku mam swoich na wszelki wypadek. Nigdy człowiek nie przewidzi, co go spotkać może. Jabym dał znak tylko, toby mi tu z pod ziemi jakich dwunastu, trzynastu ludzi wyskoczyło.

Stary wciąż się śmiał jeszcze.

Grabowski z za stołu wstał powoli i patrzy nań; a miał Bies szabelkę u pasa swoją zwyczajną, którą zwał *żonka*. Żonka ta jego dobrze była znana naokół, bo niejednemu wypisała paragraf na twarz, a sławiła się z tego, że żelazo rabała, jak wióry.

— Jaki to z waszeci wierny mąż! — rzecze Grabowski. — Widzę, bez żonki nie stąpisz. A żebyś mi też pokazał ją nagą, jak ona wygląda. Słyszałem o niej cuda, a nie widziałem nigdy.

Bies był tak głupi, że mu do rąk szabelkę dał; Grabowski z nią poszedł do okna, niby oglądać. Wtem, jak palnie w szybę, posypało się szkło, i, złożywszy kułak, huknie trzy razy. Szlachcic zrazu myślał, że ów zwarjował, i rzucił się do niego; ale wnet słyszy w rynku bieganinę, widzi pod

oknami ludzi, a tu i ja wpadam do sąsiedniej izby po starościankę. Dopieroż mu się oczy otworzyły, i rzucił się do Grabowskiego; ten mu się własną jego szablą zastawia, a ztyłu dwóch, porwawszy go, ręce mu związało i głowę zakneblowało. Ludzie od sań poszli do wody z końmi: nie było komu stawić oporu.

Jam tymczasem, wszedłszy do starościanki, przykląkł przed nią i mówię:

— Starościanko, dobrodziejko, nie mojej to głowy ani woli sprawa, ale rada ludzi skłoniła mnie do tego, że, cobym był chciał uzyskać za zgodą rodziny waszej, tego muszę się dobijać na gościńcu przemocą. Darujcie mi i za złe nie miejcie!

Starościanka, ujrawszy mnie, zrazu się przelekła, potem rozplakała. Na to wszedł Grabowski i rzecze:

— Starościanko dobrodziejko, zdobyliśmy panią dla pana starosty. Spodziewam się, że nas za to lajać nie zechcesz. Jam tu drużbą i swatem. Ksiadz czeka w kościele, chwili niema do stracenia, chodźmy!

Z podziwienia wyjść nie mogąc, płakała jeszcze i wzdragala się, gdy ja pocichu ją o zezwoleniu starszego brata i radzie podczaszyny upewniał, a począłem w nogi całować, aby mojego szczęścia odwiekać dłużej nie chciała.

Więc tak, jak staliśmy, poszliśmy natychmiast do kościoła. Ksiadz już czekał w zakrystji w kom-ży i stule; pierścionki wziętem u złotnika, a w pół godziny, zaślubieni już, przeszliśmy na plebanie, rozstawiwszy strażę dla bezpieczeństwa. Ale to było nadaremne, bo zakneblowany Bies leżał

w izbie, a ludzie, sami sobie zostawieni, wcale się opierać nie myśleli. Szło nam o to, aby się rychlej, niż potrzeba, wiadomość do braci nie dostała; musieliśmy więc, dla ostrożności, ludzi także powiązać, krzywdy nikomu nie czyniąc, krom jednego, który, że się opierał, coś mu się tam dostało.

Tak to wszystko poszło szczęśliwie, mimo wart, które się nie sprawiły, żem Grabowskiemu nie wiedział jak dziękować. Ale to była dopiero połowa sprawy; można się bowiem spodziewać było, że obrażeni bracia na tem nie poprzestaną i, bodaj siłą, zechcą siostrę odebrać, w klasztorze osadzić, a mnie o rapt i wioencję i *de nullitate matrimonii sine parcho* proces przed trybunałem i w konsystorzu wytoczyć. Anim mógł ufać w perswazję chorążego, który z nimi sam ledwie mógł sobie dać rady i lękał się ich przemocy.

Powinienem był jechać z żoną do Wólki, ale tu napadu w małym dworku nie było czem odeprzeć, ani się jak obronić, nawet dobrego ostrokołu nie miałem. Do Ryżawki należał Surowin, który jużem był objął na siebie, a w Surowinie folwark stał na starem, jak tam nazywali, horodyszczu; nawet wioska się pono dawniej Horodyszcze Surowińskie zwała.

Urzędnik mój mieszkał we dworze, za wałami, szczupłym, ale niezłym, obwiedzionem częstokółem; a że dokoła były trzęsawiska, przez jeden tylko most dostąpić tu było można. Grabowski mi radził i ja sobie sam miarkowałem, że, póki burza nie przeminie, gdzie indziej się schronić bezpiecznie nie mogę, tylko tam na ten ostrów. Ludzi więc Naleczowskich dawszy szlachcie pod straż, sanie i konie też, bośmy nic, prócz rzeczy starościanki

brać nie chcieli, ruszyliśmy dalej do Surowina. Pchnąłem tylko Grzesia do Wólki, aby stamtąd co potrzebniejszy sprzęt zaraz nam przywieziono. Żeśmy się napadu spodziewać musieli, kazałem strzelb i amunicji nabrać, ileby się znalazło. Grabowski, Zegrzda i sześciu szlachty nam towarzyszyli. O weselu nie było co myśleć, bo mnie o życie szło a mojej pani i dobrodziejki bezpieczeństwo. Szczęściem, noc była pogodna i jasna, i konie nakarmione; więc, prawie bez wytchnienia, manowcami zrobiliśmy mil pięć, a nadedniem stanęliśmy na surowińskiej grobli, gdzieśmy już byli bezpieczni.

I szczęście to wielkie, żeśmy nie pojechali do Wólki, a o Surowinie cicho zamilczeli przed ludźmi; bo chłopak Nałęczów, który z końmi od wody powracał, kiedy się ta historia odbywała, jak siedział oklep na koniu, tak drapnął i nie oparł się aż na dziedzińcu w domu, donosząc, że pannę starościankę porwano i do kościoła poprowadzono, że ludzie pohrani, a Bies zamordowany.

Rzucili się panowie Nałęcze natychmiast, rozdzielwszy na dwa oddziały, jeden z piętnaście koni na miasteczko, drugi we dwadzieścia kilka na Wólkę, gdzie, mnie nie znalazłszy, tylko ludzi poprzestraszali. Grzesia, szczęściem, jeszcze nie było, bo pod bizunami byłby im moje schronienie wyśpiewał.

Co tam było z Biesem, gdy go związanego, z zakneblowaną gębą znaleźli leżącego w alkierzu, z którego stróżę oknem pouciekali; jakie wymyślenia i odgróźki na księdza, co wrzawy i hałasu, ludzie potem nie mogli się przez pół roku naopowiadać.

Myśmy zaraz, do Surowina przybywszy, o sobie dobrze myśleć musieli, jak w czas wojenny. Postawiono strażę przy smolnych stosikach po tracie, z rozkazem zapalenia, gdyby co niebezpiecznego ujrzeli; na grobli czaty, po wsi czaty; ufortyfikowano bramę, podpiłowano most; Grabowski do siebie posłał po śmigownicę, którą miał w skarbcu; broń była ponabijana, ludzie gotowi.

Około południa przybył Grześ z prowiantami, bronią, amunicją i jeszcze kilku szlachty, a na wieczór jużśmy byli tak spokojni, że mogliśmy gości naszych przyjąć i trochę weselej a śmielej na świat spojrzeć. Aleśmy się mieli na baczności.

Do północy gwarzyliśmy u kominów. Ja tyłkom klęczał przed Helusią, całując jej ręce i prosząc, aby mi tego za złe nie miała; aleń tak statecznej i mężnej niewiasty, jak ona, nie widział. Raz odszedłszy od ołtarza, nie okazała więcej ani strachu po sobie, ani niepewności.

— Jeśli nas zabić zechcą, to razem umrzemy — mówiła do mnie.

Z północy, żeśmy wszyscy straszliwie byli zmęczeni, każdy jak stał, tak, gdzieś przyparłszy się do kąta, drzemał. Ognie poprzygasaly.

O świcie czuję, budzi mnie ktoś i szepce do ucha. Otwieram oczy — Grześ przy mnie i mówi: „Niech-no pan wstaje!”

Wyszedłem na palcach do pierwszej izby, i już mi nie potrzeba było tłumaczyć, poco obudzono. Patrę, aż dwa moje stopy łuczywa płoną... Targnąłem Grabowskiego i Zegrzędę; wstaliśmy cicho do ludzi, i w pół godziny było wszystko w pogotowiu.

Posłałem Grzesia do wsi na wzwiady na pod-

jezdku, przykazując jechać bokiem drogi, aby tętentu nie było słyszeć.

Za ostrokołem uszykowaliśmy ludzi, czekamy... cicho. Ale trzeci stos się pali, a ós czwarty... W ostatku przez mostek luezy. powraca czata moja... Wyleciałem przeciw niemu.

— Co słyszeć?

— Do sta ludzi — powiada — ze wszech stron Surowin otacza.

Zaczaliśmy się za płotem, stojmy... Kazałem we dworku światło nawet pogasić. żonę tylko obudziliśmy. aby jej, uchwaj Boże, strzały nie przestraszyły... Kłękła zaraz modlić się, a ja poszedłem do ludzi.

Poczęło dnieć. Widzę, na grobli jedzie kupka. Posłałem na most podpiłowany, cicho dyle powijmowano. Słomą pookręcaliśmy pale, osmarowali smołą i chłopak miał rozkaz podpalenia. gdy mu znak na to damy. Ale ichmość poczynali sobie ostrożnie i zdawali się tylko położenie opatrywać.

Chociaż wszystko u nas było wpogotowin do obrony, dobrzem ja to zawczasu obrachowałem, że, uchwaj Boże strzelania, a nużby kula którego z braci żony trafiła?! I ona i ja drżeliśmy na tę myśl, aby z bratniej ręki nie zginał, boćby to między nami szerszą jeszcze postawiło przepaść. Musieliśmy się bronić, ale w ostateczności i gdyby nam oni sami nóż na gardle położyli.

Zbliżyli się do mostu ci ichmość; z koni pozłazili i poczęli go opatrywać; zobaczyli, że dyle wyjęte, że pale pookręcane, że tam już i piły były w robocie, więc zmiarkowali, żeśmy nie żartem o sobie myśleli. Dopatrzyli też wprzód tych sto-

sów pozapalanych i wiedzieli już, że mieliśmy się na baczości.

Spodziewaliśmy się napadu, ale widać, że po naradzie z sobą inaczej postanowili, bo się cofali powoli za groblę, i tam się ich kupa, zewsząd zebrawszy, zastanowiła. Dniało już coraz lepiej, widać więc było dobrze wszystkie ich ruchy: ale zrozumieć nam było trudno, co przedsiębrali, przekonawszy się, że nas nie ubiegna niegotowych.

Dwór w Surowinie, jakim powiedział, stał na starem horodyszczu, opasany wałami i częstokolem, a zewsząd prawie błotami i małą rzeczulką gniłą, która nigdy dobrze nie zamarzała. Nie obawialiśmy się najścia z żadnej strony, tylko od grobli i mostu, bo od tyłu przestrzeń otwarta była i człowiekowi niedostępna łatwo. Dobrze znając miejscowość, można się było przebrać, ale brnąć czasem po kolana, a niekiedy i po pas. Nikomu z nas i na myśl nie przyszło, żeby to, co broniło, mogło się dla nas stać niebezpieczeństwem. Obaczwszy, że nas bez bójki, i to krwawej, nie wezmą, panowie Nałęczę wpadli na to, iż nas obleć mogą i głodem do zdania się na łaskę przymusić. Byliśmy w istocie nie z wielkim zapasem żywności we dworze, a ludzi kupa, bo któżby się był spodział, że trzymać się będziemy musieli? Zrazu nam to i do głowy nie przyszło.

Tymczasem, gdy się całkiem dzień zrobił, postrześliśmy, że jakby obozem legli u grobli, a reszta, co ich było, rozłożyli się w karczmie i we wsi. Postawili straż, kilka razy wyszli jeszcze do mostu, wrócili za groblę znowu i stoją.

Grabowski, jak to mu nigdy na dobrym humorze nie zbywało, szczególnie, kiedy był w robo-

cie, myślał, że na coś czekają, i śmiał się, że snąc po artylerję posłali. Nazywał Nalecza Kara-Mustafią i oblężenie to równał z wiedeńską wyprawą.

Nadszedł biały dzień. My także, u wrót ludzi postawiwszy, poszliśmy co przekąsić i spocząć. Wtem woła mnie Helusia do alkierza i szepce na ucho:

— Powiedz mi, co będzie, jeśli to potrwa? Na trzy dni nie mamy w spiżarni zapasu, ani maki, ani chleba...

Stałem osłupiały, postrzegłszy, że to już nie żarty; a teraz mi to w oczach stało, że oni na to rachować muszą, iż nas w tydzień głodem wezmą. Nie trwając innych, wziąłem Grabowskiego na bok i opowiadam mu, jak rzeczy stoją. Spoważniał. Poszliśmy do spiżarni i obliczyliśmy gęby: jawna była rzecz, iż nad trzy dni nie dotrzymamy. Dowieźć zapasu nie było podobna, bo nas formalnie oblegano.

— Sprawa głupia — rzekł mi Grabowski — ale jakąś radę na nią dać przecie sobie musimy. Już ci się tak w tym kojcu wziąć im nie damy.

Poczęliśmy liczyć, ilu ich tam jest, ilu nas, czyby wycieczki nocą nie zrobić, wziawszy pania we środek, ale niebezpieczna to była rzecz. Żle. Jemy wszakże śniadanie, ba i obiad, nie mówiąc nikomu nic i nie żałując sobie chleba i mięsa. Na następny dzień było trochę wędliny, słoniny, szynki, mieliśmy jaja, krupy, ale do czwartego dnia załoga byłaby głodna, bo jedli nasi, zdaje się, jak nigdy, gdyby na złość, a ochotnikowi odmówić nie było podobna.

Cała moja nadzieja była w Grabowskim, który chodził, cmokał, namyślał się, ale serca nie tracił.

Z południa poszedł opatrywać położenie, raz i drugi wały przebiegł, każdy kąt opatrzył, ano, nic nowego. Z tamtej strony grobli położyli się obozem i leżą. Nadchodzi wieczór, nic; przyszła noc, ani słuchu... Ale nam już zasnąć trudno... Jakiś u naszej załogi poczęło serce indleć z tego wyczekiwania i nudy. Byliby się bili w pierwszej chwili jak najlepiej; ano, tem stanieniem przepadli.

Zarazem postrzegł, że drudzy się już radzi byli wysunąć. Nocą jeden szlachcic przelazł przez częstokół i cichaczem groblą drapnął, myśląc, że się przekradnie. Z północy robi się larum za groblą. krzyk... Wszyscyśmy się zerwali na nogi. Widzimy, że Bykowskiego brak, i dorozumieliśmy się, co zaszło. Czekamy, co będzie. Aż, tak w godzinę niemal, Bykowski, zawstydzony, że deztererował, powraca. Czekaliśmy nań już u wrót: otwarto mu furtkę.

Wsiądzie na niego Grabowski:

— A, ty tam taki, owaki! A czy ci nie wstyd?

— Daj mi pan pokój — odpowiada szlachcic. — Pójść się z szablą wyrąbać, tom gotów; ale tu siedzieć zamkniętemu, jak w więzieniu, a jeszcze, jak rychło przyjdzie, o głodzie, nie mogę, i dużo naszych nie będzie mogło. Doma żona chora, gospodarstwo, bieda; ja tu nie wytrzymam. Widzicie, panowie, że mnie Nałęczowscy puścili, a wiecie z czem? Oto, żebym wam powiedział, iż stąd nie pójdą, aż wezmą panią i sprawcę, choćby tu i pół roku stać mieli...

Grabowski począł się śmiać, ale nam było nie do śmiechu. Wziął mnie za rękę i szepcze:

— Bądź spokojny, znajdzie się na to rada!

na

z

t

sik

J

s

r

Wyjawszy z kieszeni talara, daje Bykowskiemu i powiada mu:

— Idź waszeć do nich, a proś tu do mnie na most jednego z tych ichmościów na rozmowę!

Szlachcie się poskrobał w głowę, ale rad nie-rad powlókł się. Noc była dosyć widna. Patrzymy, w pół godziny idzie nazad, a za nim konny. Grabowski do mostu pośpieszył sam.

Starszy z Nałęczów do niego wyjechał, i poczęła się następująca pomiędzy nimi rozmowa:

— Czego ichmość tu chcecie, nadchodząc dwór szlachecki?

— Nie dwór szlachecka, ale zbójcekie schronienie obsaczyliśmy. Porwano nam zdradą siostrę, stała się wioleńcja i rapt. Nie mamy innego sposobu, tylko siłę siłą złamać.

— Nie tak sprawa stoi, jak ja waszmość malujecie — rzekł mój poseł. — Siostra waszmości pełnoletnia, dobrowolnie rękę przed ołtarzem oddała równemu sobie szlachecowi; wioleńcja jest z waszej strony, a ucisk niesłychany. Jeśli macie słuszość, idźcie do sądu, niech trybunały rozstrzygną.

— Oto mój sędzia — odparł Nałęcz, bijąc się po szabli. — Ja innego nie znam, a z hołotą się po trybunałach rozpierać nie myślę.

— A ja właści mówię — dodał Grabowski — że nas tu nie weźmiecie. Będzie-li nieszczęście i krew się czyja poleje, niech spada na waszmościów.

— Niech spada choćby i na mnie — rzekł Nałęcz — ja tam o to nie dbam, a gwałtu sobie czynić nie damy.

— My też — rzecze Grabowski.

— Siedźcie w tej mysiej dziurze, jeżeli chcecie

— poczał ów — a ja was tu głodem zmorzę i wybiorę.

— Starościcu, po ludzku mówmy! Co wam z tego przyjdzie? Ludziom śmiech, domowi wstyd, obmowa, szyderstwo z tego. Siostra zamaż wyszła, ksiądz przy świadkach ślub dawał; od męża jej nie odbierzecie. A to wam powiedzieć kazala, że rychlej umrze, niż mu wiarę złamię.

— Waszmość mnie uczyć nie będziesz, co mam robić, ani co imieniu mojemu ode mnie się należy — rzekł Nałęcz. — Róbcie swoje, my też.

— O co wam idzie? Próbujiemy skończyć po szlachecku.

— Zaczęliście po zbójceku, a kończyć chcecie, ze strachu w układy idąc — zaśmiał się Nałęcz. — Wydajcie nam siostrę i tego panicza, to wyliczymy mu na skórze pamiątkę i rzecz się skończy... Ot, co jest!

Buchnął tedy Grabowski gniewem, ale się pohamował i zawołał tylko:

— Ruszaj waść, skadeś przyszedł! Zobaczymy, czyja skóra garbować się będzie.

I tak się rozjechali w największej złości.

Rachowałem ja na chorążego, na podczaszynę, na to, że, jak się ludzie dowiedzą i hałas uczyni, to ich odwiodą od tego zamachu na nas; ale potrzeba było czasu, a tu głód za pasem. Jeszcze nie szarzało na dzień, Grabowski do mnie przychodzi i pyta:

— Znasz ty błoto dobrze?

— Niebardzo — rzeknął mu — jam tu nowy dziedziec.

— Dawaj mi przewodnika! Wydobyć się stąd muszę, aby wam odsiecz sprowadzić, bo szlachta

nasza do wybitej doskonała, ale jak chleba i wódki zabraknie, to się wszystko rozlezie. *Periculum in mora*.

Był chłopak wyrostek przy folwarku. Grabowski zmiarkował, że musiał na jaja czajek po błotach się włóczyć, i kazał mu się tyłem przeprowadzić. Jużem go nie śmiał od tego odwozić, choć bez niego prawej ręki mi brakło. Chłopak zobowiązał się iść z nim na błota i, niepostrzeżenie, po kątach, między trzcinami, bezpiecznie go przewieść do szlacheckiej osady za rzeczką.

Jak raz to sobie w głowę wbił, już go odciągnąć nie było podobna. Wdział siermięgę, kozuch i czapkę chłopską, tylko dwa pistolety olstrowe włożył za pas, pod sukmanę, i tyłami wysunął się z chłopcem. Żegnając mnie, ścisnął za rękę i powiada:

— Dawaj im jeść, co wlezie; nim jutro przyjdzie, posłyszysz o mnie! Mądrzy oni, ale Grabowski też niegłupi.

Patrzałem się z wału, jak go chłopak poprowadził dosyć szczęśliwie. Załamali się trzykroć, ale niegłęboko; potem, jak się wszyli w trzcinę, tylko im pobłogosławił... przepadli.

Natenczas pomyślałem sobie: — W ostatnim razie wezmę Helusię na ramiona i wyniosą stąd, gdy będzie potrzeba. Ukryjemy się kiedyś w chacie, a tymczasem coś się do zgody uczynić musi.

Zaczął dzień; my — na swoich posterunkach, oni też. Most kazałem do reszty porozrzucić, a, wierząc słowu Grabowskiego, śniadanie sprawiliśmy sute i wódki nie pożałowaliśmy.

Uchodzą godziny na wyczekiwaniu tej odsieczy; przyszło południe, nastąpił wieczór, zmierz-

cha się; nastawiają wieczerzę dla panów braci, i dla zabawy, do wódki wytoczyliśmy im półbeczek kwaśnych ogórków. Patrzę naokół: nic się ani ruszy.

Nie zwątpilem bynajmniej o moim Grabowskim, ale w tej biedzie różne przychodziły myśli. Wyrostek, który miał powrócić, nie przychodził; a nuż gdzie potonęli? Rzeczka była oparzelista, ranek chmurny, chłopiec niebardzo rozgarnięty... Nuż go tam pochwycili gdzie!... A to, a owo... Gdy noc przyszła, już mi bardzo zrobiło się ciężko. Poszedłem do alkierza, patrząc: Helusia płacze. Chciałem ją cieszyć, ale słów zabrakło; wskazałem krucyfiks i Matkę Boską, i wysunąłem się.

Wychodzę do wrót, by czaty opatrzyć... Ciemno już było bardzo. Aż mi Zegrzda drogę zabiega i woła:

— Coś za groblą się stało, bo tętent, krz... a, bodaj, parę strzałów słyszałem.

Drudzy mówią, że to we wsi szlachta zahulała. Niema nic... ucichło. Widać, wrotami gdzieś trzaśnięto, a zdało się, że strzelają.

Umilkliśmy wszyscy i nastawujemy ucha; ano, szmer, jakby się w garnku gotowało, i kiedy niekiedy okrzyk, a potem znowu daleka wrzawa i cisza.

— Ani chybi — powiada szlachcic stary — że chłopów tłuką, jeśli im się postawili naprzekór.

Wtem na zachodniej stronie ponad stawem, kiedy droga szła, przypatruję się: mknie jeden jeździec, za nim drugi, potem dwóch, ale co koń wy-skoczy i do siodła poprzytulani, aż leżą. Za nimi znów jeden... i znowu kilku... Od ostatnich błysnę-

ło; strzelili... aż i huk wyraźny... No, więc coś jest... Ale, kto tam wygrał, niewiadomo.

Jużeśmy aż za wrota powylazili; czekamy tylko. Upłynęło pół godziny, może i więcej. Sprzykrzyło się darmo wyglądać; we wsi cicho.

— Niewiadomo, co tam było — mówię do Zegrzdy — chodźmy się ogrzać do izby!

Wtem szlachcic przypada do mnie:

— Patrzajcie! Patrzajcie!

Spojrzeliliśmy na groblę. Kaduk wie, co tam takiego, zrozumieć trudno. Od karczmy szereg świateł, jakby pogrzebowych, pozapalane smolne luczyna, czy co, ciągnie na groblę ku nam. Stoimy, patrzymy: nieprzyjaciół, czy odsiecz, nie odgadujemy.

Kiedy się zbliżyli do mostu, słyszę głos; przez kułaki Grabowski woła o przeprawę. Skoczyliśmy ku niemu, ja, Zegrzda i ilu nas było...

Zbliżywszy się pod most, patrzę: a oto czysta komedia. Grabowski na beczce ogromnej, beczka na wozie, parą wołów ciągnionym, dalej wóz drugi, trzeci, czwarty, a około nich szlachty ćma z pochodniami, niektórzy z szynkami na kijach, inni z kielbasami na szyi, ostatni po parę bułek pod pachami... i wszyscy chórem śpiewają jakąś pieśń żołnierską, podpiłi widać... Kiedy lepiej się przyglądam, widzę: Grabowski z głową związaną, u drugiego ręka na chuście, trzeci o kiju się wlece, stekając.

Most polataliśmy naprędce, jak było można. Rzucam się ku Grabowskiemu, aby go ścisnąć, ten mi woła zdala:

— Dobra nasza! Górą Jastrzębce! Nałęczem obie Nałęczę rany obwiązują!

— Co się stało? — mówię.

— Zaraz opowiem. Ale naprzód wprowadźmy obrońców na waszecin zamek, ugośćmy, a potem o tem.

Wjechali tedy z pieśniami, ze strzelaniem, z humorem, jak zwycięzcy, aż Helusia w ganek wybiegła, na tę osobliwszą z kielbasami procesję popatrzeć. Nierychłom Grabowskiego złapał.

— Mów, ojcie a dobrodzieju... jak to było?

Otóż czegom się od niego dowiedział:

Chłopiec go bezmała całego, ale zamoczonego po pas, przeprowadził do szlacheckiej osady. Tam już on był, jak w domu; kazał zwołać panów braci, wlaż na beczkę i przemowę im palną o równości szlacheckiej, o przemocy magnackiej, o potrzebie wzajemnego ratowania się. Szlachta stanęła gotowa na odsiecz. Posłano po bliższych do innych wsi, a razem zebrano żywność. Grabowski od siebie z domu kazał przywieźć beczkę miodu i parę beczulek wódki.

Gdy wszystko było w gotowości, wozy z żywnością zostawiwszy w tyle, o mroku puścił się ze swym oddziałem do Surowina. Nałęcz wcale się nie spodziewali napaści, i po większej części spali, lub po chatach leżeli, gdy szlachta z okrzykiem na nich uderzyła i w jednej chwili rozprószyła; bo ci, co po chatach byli, oknami przez ogrody puciekali. Strzelono parę razy, ścięto się w szable, ale żadnego trupa nie było, jak się zdaje, z obojej strony.

Wysłuchawszy relacji, uściśnałem przyjaciela; ale ten mi rzecze:

— Na teraz skończone, ale, prawdę rzekłszy, wszystko po dawnemu. Nałęcz swoje, my swo-

je, i tak się to będzie ciągnęło, Bóg wie, jak długo. Trzeba myśleć, co począć.

— Nie może być! — rzekłem. — Są przyjaciele, co ich opamiętają; dowiedzą się ludzie, starszy brat mi przyrzekł. Podczaszyna też poruszy swe wpływy... musi temu raz być koniec!

Zostawiwszy nieco świeżej szlachty przy sobie, strażę znów poustawialiśmy. Zmęczonych odprawiono do domu; ale się z Surowina wybrać nie było można, zawsze tu jeszcze było najbezpieczniej.

W nocy się trochę spoczęło, bo była ta pewność, że wpędce nowych sił nie zbiorą. Nad ranem wyszliśmy z Grabowskim obejrzeć się. Na grobli spotykam człeka. Widzę, obcy. Popatrzył się na mnie, i z płachty list rozwiniawszy, wręczył mi go.

Posłaniec to był od podczaszyny, a pismo od jej kapelana, z doniesieniem, że panowie Nałęcz po odniesionej porażce — a jeden z nich lekko ranny — zawzięli się na nas gorzej jeszcze; że się odgrażają, choćby do nogi wyginać mieli, porwać mnie i ściąć, a siostrę do klasztoru zamknąć; że przygotowania się robią wielkie; abyśmy się mieli na ostrożności. Ale dołączał zarazem, że podczaszyna pisała do kasztelana krakowskiego, Potockiego, aby o tem królowi dał znać, i poruszyła wszystkich swych przyjaciół dla uczynienia zgody; abyśmy byli cierpliwi.

— Niema innej rady — rzekł Grabowski — tylko, póki się to nie załatwi, trzeba w pomoc szlachcie spędzić ludzi ze wszystkich wiosek naszych, z cepami, kosami, siekierami... i czekać obronnie ewent.

Ponieważ gościńce były wolne, pchnąłem zaraz

Grzesia do Wólki po spiżarnię, kazałem parę wołów na rzeź przypędzić i ludzi pozwoliwać. Koszt był niemały, kłopot straszny, ale nie mogłem folgować, musiałem się bronić do ostatka.

Trzy dni jakoś było spokojnie. Chodziły wieści głuche, plotki nedorzeczne; przyjeżdżała szlachta z tem i owem, wiedząc, że m dobrze traktował, ale Nałęcz się nie zjawiali. Trzeciego dnia wyjechał Zegrzda na wywiady, choć małowówny, ale roztropny człowiek, i przywiózł języka, jakiego dostał, że Nałęcz zmiękli znacznie, że wpływy różne zaszły, że tylko o odstąpieniu sumy posagowej jest mowa.

— Jeśli to prawda, jadę do podczaszyny — rzekłem — i rzecz we dwóch słowach kończę.

Ale, gdym poszedł do Helusi, rozplakała się strasznie i wręcz mi powiedziała:

— Niech jedzie kto chce, a ja was, panie Janie, od siebie nie puszcę i nie puszcę. Mogłoby się trafić nieszczęście, spotkanie, i jabym to na sumieniu miała.

Powiedziałem Grabowskiemu, a ten mi na to:

— Ma słuszość, ja pojedę. Wezmę tylko moje hiszpańskie pistolety za pas, i, choćby do Nałęczów samych na dwór, nie ulekne się.

Uprosilimy go, że samotnie wyjechał, i to tylko do podczaszyny.

Znowu dwa dni w tej niepewności upłynęły. Dają mi znać, że wraca, i ażem na groblę do niego wybiegł. Patrzę, kwaśny; poznałem z miny, że źle się powiodło.

— A co, przyjacielu? — spytałem.

— Nic — rzecze — z kwitkiem poszedłem, gadać nie chcą. Podczaszyna radzi zebrać ludzi i je-

chciać wam do Warszawy, gdzie pod boki króla, w stolicy, żadnej się już napaści obawiać nie potrzebujecie. Rzecz trzeba w tajemnicy zachować największej, aby się nie rozniosło póty, póki w stolicy nie staniecie. Niech ludzie myślą, że tu jesteście. Zczasem się to ukoi, ale czekać waszmość musicie. Chorąży próbował ich, naprowadzał do rozumu, prosił; wstawiała się i chorążyna, którą starszy brat bardzo lubi, reflektowała podczaszy-na, nie pomogło nic.

Bardzo mi to było nie na rękę. Gospodarstwo zaniedbane. Starostwo miałem przyjmować, rozplaty, inwentarze, roboty siła, a tu jedź w drugi koniec kraju i siedź z założonemi rękami. Ale innego sposobu nie widzieliśmy. Helusia też była za tem.

Poczęliśmy się tedy przysposabiać do podróży w tajemnicy największej. Pomimo to na pół drogi przeprowadzać nas miało dwudziestu rębaczów, a do samej Warszawy Grabowski, Zegrzda i ośmiu z ich komitywy doświadczonych. Jak na toż zima, która się dotąd trzymała, jak murowana, poczęła nagle ginać; ni kołami, ni na saniach. Roztopy okrutne, deszcz, śnieg, plucha, zawieje na dworze; ani nosa wytknąć, ani kolebki dobrać. Helusia mi się oświadczyła jechać konno, i jak poczęła prosić, musiałem pozwolić. Dałem pod nią Pyladesa, bom wiedział, jaki to koń; zresztą, sam miałem przy niej jechać.

Nic nikomu nie mówiąc, wieczorem wysunęliśmy się z dworka, dosiedliśmy koni i ze szlachtą naszą puściliśmy się, aby z domu tylko, na nocleg do Sławatycz.

Nikt, zdaje się, żywa dusza nie wiedziała,

cośmy za jedni. Helusia się nawet dla niepoznania przewdziała po męsku, a wyglądała, jak piętnastoletnie chłopię... Tylko jej skrzydła przypiąć, byłby anioł.

W Sławatyczach, dla okrutnej zawiei, musieliśmy podnocować, a stąd musieliśmy inalemi drogami ciągnąć na Białą Radziwiłłowską, dalej ku Warszawie.

Nad ranem księżyc świecił. Wstaliśmy dodnia i w drogę. Wziął mały przymrozek, niebo się wyjaśniło, ziemia stężała i zrobiliśmy kawał dobry do południa. Na noc chcieliśmy być w Białej. Szło wszystko jak najpomyślniej, aż prawie do wieczoru.

Ledwie poczynano zmierzchać, w puszczy pod miasteczkiem ujrzałem konnego jakiegoś, który stał na gościńcu i znikł nagle. Tknęło mnie coś i powiadam Grabowskiemu. Ten się śmieje i mówi, że przywidziało mi się.

Wszelako on i ja porozplątywaliśmy rapcie od szabel i opatrzyliśmy pistolety. Jedziemy trochę dalej, słyszę tętent ztyłu, a z przodu postrzegam kupę ludzi. Obejrzę się... osaczeni jesteśmy.

Schyliłem się z siodła, całując w czoło Helusię; ścisnąłem jej rękę, wzięliśmy ją między siebie i stajemy. Wtem słyszę głos:

— Zdawajcie się na łaskę, a nie, to z was tu i jeden z duszą nie wyjdzie!

Na to Grabowski w śmiech. Było nas razem z ludźmi koni coś dwanaście, ich zaś może dziesięć z jednej, a dziesięć z drugiej strony; tylko, że nas wzięli zdradą, ztyłu i przodu. Po obu stronach gościńca las okrutny i gąszcz.

Nie wiedzieć, jak się stało. żeśmy zaraz do tych

krzaków się przyparli, Helusię wziąwszy za siebie, i frontem do obudwóch kupek stanęliśmy. Uciekać — ani było można, ani uczciwie. Chciał mnie i ją Grabowski namówić, abyśmy w las uchodzili, gdy oni z nimi zabawiać się będą; ale i ja i ona odmówiliśmy. Daliśmy sobie słowo nie strzelać, pókiby na białą broń szli.

Upłynęło może tyle czasu, ile jedna Zdrowaśka; patrzę: sadzą na nas z szablami. Już dalej dobrze nie wiem, co się działo, ho się poczęła taka siekanina o mroku zawzięta, że aż skry się z szabel sypały. To tylko pamiętam, że ręki nie żałował, ale, mimo liczby, nie przemogli nas. Byliśmy ztyłu osłonięni gąszczą nieprzystępną, a konie ustawivszy dokoła, aniśmy się dali ukasić. Co natrą na nas, to ich tak przyjmiemy, że muszą się cofać. Grabowski Natęcza zaraz w początkach płałnął po gębie; ja Biesowi-m czapkę przerabiał i troszkę skóry na łysinie; inni też nie próżnowali. Gwar, krzyk, aż słyszę: pada strzał, i zaraz po nim jęk. Poznałem głos Helusi. Nie śmiałem się obejrzeć, ale mnie wściekłość porwała straszna. Sunę się z rzędu i ramię. Jużem oślept — i nie wiem kogo i jak.

Było chwilę zamieszanie; z naszych jeden padł z konia, z ich strony kilku uciekło, a dwóch się zważyło, i zmiękli zaraz: w konie i w nogi. Aniśmy się opatrzyli, jak ich nie stało, a gonić nie było potrzeby.

Dopierom się obejrzał ku Helusi, i, zobaczywszy ją na koniu siedzącą a zdrową, jak mi się zdało, Pan Bogu podziękował. Ale, gdy się zbliżam o mroku, patrzę, na twarzy krew. Krzyknąłem:

-- Co to jest?

— Nic — rzecze — nic, gałąź mnie drasnęła.

Ale nie była to gałąź, tylko niecnotliwa kula braterska, która jej ramię śliczne odarła; szczęście, że się oślizgnęła tylko i nie weszła w ciało, ani tknęła kości.

Wnet-em się rzucił obwiązywać, ale mężnie to zniosła, uśmiechając się, jak żołnierz, aż mi łzy z oczu ciekły. Szukam potem Grabowskiego, a ten pod drzewem siedzi i drudzy mu gębę zawiązują. Szpetnie był pocięty. Mnie też parę razy skubnęli, ale to tam skóry nie przeszło.

Mieliśmy jeszcze kilku rannych, wszystkich jednak nie strasznie. Gdy trwoga ta przeminęła, rozglądając się, słyszymy: stęka coś za krzakiem z przeciwnej strony. Poszliśmy tam: leżał szlachcic nałęczowski, zwany Burakiem, fatalnie ranny. Nie dałem mu krzywdy robić, choć mu się za niepocziwą napaść należały płazy, ale go i tak Pan Bóg pokarał, bo skórę na policzku miał zupełnie obciętą i obwisłą, aż z jednej strony szczękę i zęby widać było. Kazałem go obwiązać, ale wybadać nie było można, bo wcale gadać nie mógł, ino krwią pluł raz wraz, płakał i jęczał. Mimo gniewu słusznego, byłbym go wziął na którego konia do najbliższej karczmy, aleśmy byli bardzo objuczeni. Powlókl się więc pieszo.

Po tem spotkaniu nieszcześliwem, pośpieszyliśmy do miasteczka, dla samej Helusi, która, mimo męstwa okazanego, bardzo była zmęczona. Ale i koniom się dały we znaki tarapaty. Nadciągnęliśmy do gospody już nocą.

To była moja ostatnia z Nałęczami rozprawa, a gdy dziś ją przypominę, nie wiem, jakieśmy po-

trafili napaść odeprzeć, chyba łaską to bożą, która zawsze niewinnego krzepi i wspomaga.

Wypocząwszy następny dzień, puściliśmy się w dalszą drogę i dostaliśmy się do Warszawy, gdzie się czułem zupełnie bezpiecznym. Rozpoczęły się po trybunałach procesy nasze: Nałęcz przeciwko mnie, ja przeciw nim. Ale miałem za sobą króla, i dwór, i dyplomatów, bom był pokrzywdzony i uciśniony. Byłoby to jednak nieskończone wieki trwać mogło, i dobra żonine, zajechane przez braci, nie wyszłyby z ich rąk, gdyby nareszcie do ugody nas nie sprowadzono.

Wspólni przyjaciele zbliżyli nas; spisaliśmy transakcję ugodną, ze wszelkich krzywd i pretensyj wzajemnie się kwitując, tylko sumy posagowej ustąpić musiałem tytułem kosztów.

Jak się to stało, nie bawiąc, ruszyliśmy po Zielonych Świątkach z Warszawy do domu, aby uroczystie wesele odprawić i z rodziną się przejednać. W Wólce nam było ciasno, w majątności żony był dzierżawca jeszcze; kazałem więc trochę dwór w Ryżawce wyporządzić i wprost tam się podążyli.

Nie było bardzo dogodnie ani pięknie w tem starem domowisku opuszczonem, ale młodemu gdzie nie dobrze i gdzie nie wesoło? Zwłaszcza, jeśli z dozgonnym przyjacielem — a jeszcze po takich burzach, jakie ja przebyłem — u portu i spoczynku!

W kilka dni kawalkatą ruszyliśmy do panów braci. Nie mogę narzekać, aby mnie źle lub kwaśno przyjęli; owszem, starali się okazać, że wszystko zapomniane było, i zmuszali moich i mnie pić i kochać gwałtem.

Stąd zaprosilem ich do siebie, dobrze zaopatrzywszy piwnice, abym szlachcie nie wydał się podlejszym od tych senatorów. Wystąpiłem tak, że do dziś dnia o tem jeszcze na Podlasiu fama chodzi. Kosztowało mnie ono spóźnione wesele omal nie tysiąc czerwonych złotych, bo trwało dni dziesięć, a caluteńka szlachta okoliczna, aż do najuboższej, była zaproszona i traktowana, co gardło strzymało. Szczęściem, że to było w lecie, a stodoły jeszcze próżne, bo na ten traktament miejsca we dworze nie stało.

Zabawili się więc jedni z nami w starym budynku, drudzy w stodole wielkiej, sośniną ubranej na podziw pięknie, inni w podwórzu, pod lipami. Szlachta mnie na rękę nosiła.

Mogę się i tem pochwalić, że, mimo natłoku ludzi i trunków dostatku, ani jednej zwady nie było, oprócz, że tam Biesowi któryś guza rękojęścią na czole wycisnął; aleśmy ich zgodzili zaraz i spobili do niepamięci.

Izbę jadalną we dworze takem przystroił w kilimy i kobierce tureckie, w rzędy, szable, zbroje, łuki i kołczany, zdobyte i kupowane, iż się wydziwić i odchwalić nie mogli.

Sit nomen Domini benedictum

(Reszty brak w ręku)

- Nr. 31. J. Słowacki: „JAN BIELECKI”
 „ 32. F. Schiller: „DZIEWICA ORLEAŃSKA”
 „ 33. A. Asnyk: „ALBUM PIESNI”
 „ 34. C. K. Norwid: „KRAKUS — WANDA”
 „ 35. J. Słowacki: „BALLADYNA”

Biblioteka Główna AP w Siedlcach
 nr inw.: KG - 252



252

- „ 36.
 „ 37.
 „ 38.
 „ 39.
 „ 40.
 „ 41.
 „ 42.
 „ 43.
 „ 44. GRECKICH”
 „ 45. A. Mickiewicz: „BALLADY I ROMANSE”
 „ 46. A. Mickiewicz: „SONETY I SONETY
 KRYMSKIE”
 „ 47. J. Kochanowski: „POEMATY”
 „ 48. K. Brodziński: „O KLASYCZNOŚCI I RO-
 MANTYCZNOŚCI”
 „ 49. K. Brodziński: „O NARODOWOŚCI POLA-
 KÓW”
 „ 50. J. I. Kraszewski: „PAMIĘTNIK MROCZKA”
 „ 51. A. Fredro: „PAN GELDHAR”
 „ 52. K. Ujejski: „MELODIE I SŁUNE”
 „ 53. J. Gordon Lord Byron: „CIAUR”
 „ 54. J. Korzeniowski: „SPEKULANT”
 „ 55. A. Pełiński: „BARBARA RADZIWIŁŁOWNA”
 „ 56. St. Wyspiański: „NOC LISTOPADOWA”
 „ 57. A. Asnyk: „W TATRACH NAD GLEBLANI”
 „ 58. J. Słowacki: „KORDJAN”
 „ 59. K. Brodziński: „POSŁANIE DO BRACI WY-
 GNANCÓW”
 „ 60. J. Słowacki: „MINDOWE”